



3 1761 05323977 8

P G

7158

I 8

L 4

Digitized for Microsoft Corporation
by the Internet Archive in 2007.

From University of Toronto.

May be used for non-commercial, personal, research,
or educational purposes, or any fair use.

May not be indexed in a commercial service.

lk. Ksp
≡ |

I

JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA
LEGENDY I DEMETER



JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

L E G E N D Y
I
D E M E T E R



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS“

Warszawa: E. Wende i S-ka — Lwów: H. Altenberg —

Poznań: Fiszer i Majewski — Łódź: Ludwik Fiszer —

Toruń: Towarzystwo Księgarni Kresowych. 1921

PG
7158
I&L4

LIBRARY

JAN 5 1966

UNIVERSITY OF TORONTO

1037259

Druk. J. Buriana, Mazowiecka 11.

LEGENDY

**LEGENDA O ŚWIĘTYM
MERKURYM SMOLEŃSKIM**

JÓZEFOWI CZAPSKIEMU

Siedem trąb złotych zagrało, siedem srebrnych łabędzi się wzbiło, siedem lazurów proporców furkoce, siedem czarnych bachmatów podkową iskry krzesze

przed domem, gdzie

junak święty Merkury do Bogarodzicy się modli, i do świętego Michała Archistratega i Archianoła, i do Trójcy Najświętszej, i do Chrystusa na krzyżu rozpiętego.

Żli Tatarowie chmurą czarną miasto otoczyli, ciskają strzały, ciskają obelgi, ludzi raniąc na duszy i na ciele, zabijając śmiercią okrutną mężów, niewiasty na zatracenie wieczne w rozpustę biorąc, dzieci szaleństwem krwawiąc,

Jęczy ziemia pod kopytami pohańskimi, jęczą wieże i kopuły dzwonami modlitewnymi, jęczy święty Merkury, przed świętą ikoną na kolana padłszy.

„A iże nie miałem innej modlitwy nad dziękczynną, bo ileż to razy dziękowałem Ci, Pani Święta, za gałazki tarniny pod klasztornym murem, za dźwięki dzwonu w letni zmrok i za korale jarzębin w jesienne zadumy, —

JÓZEFOWI CZAPSKIEMU

Siedem trąb złotych zagrało, siedem srebrnych łabędzi się wzbiło, siedem lazurowych proporców furkoce, siedem czarnych bachmatów podkową iskry krzesze

przed domem, gdzie

junak święty Merkury do Bogarodzicy się modli, i do świętego Michała Archistratega i Archianoła, i do Trójcy Najświętszej, i do Chrystusa na krzyżu rozpiętego.

Żli Tatarowie chmurą czarną miasto otoczyli, ciskają strzały, ciskają obelgi, ludzi raniąc na duszy i na ciele, zabijając śmiercią okrutną mężów, niewiasty na zatracenie wieczne w rozpustę biorąc, dzieci szaleństwem krwawiąc,

Jęczy ziemia pod kopytami pohańskimi, jęczą wieże i kopuły dzwonami modlitewnymi, jęczy święty Merkury, przed świętą ikoną na kolana padłszy.

„A iże nie miałem innej modlitwy nad dziękczynną, bo ileż to razy dziękowałem Ci, Pani Święta, za gałazki tarniny pod klasztornym murem, za dźwięki dzwonu w letni zmrok i za korale jarzębin w jesienne zadumy, —

bo

ileż to razy padałem na kolana przed Tobą, dziękując za woń żywiczną smoleńskiego lasu, za blask biały klasztornej ściany, za wzór korali jarzębin w jesienne zadumy, —

bo

ileż to razy całowałem stopy Twoje, dziękując za blask bławatków w oczach gdzieś spotkanych, za perły, o których wiem, że na dnie morza spoczywają, i za korale jarzębin, co i po moim zgonie zabłysną w jesienne zadumy.

Iż życie moje było słońcem radosne, i ziemią upojne, i całujące kwiaty, i uśmiechające się ku sobie i ku ludziom, iżem ukochał i grzech i niewinność, ku nim ręce me niepokalane wyciągając, iżem ukochał zło i dobro, błogosławiąc je słonecznie, zem prochem się stał przed oblicznością Twoją, Pani, w dziękczynieniu rozplynięty wiecznem, Pomnisz, Ty, co turkusy masz na aureoli...

Iż nie kocham nic ponad Boga, a że dał mi życie więc kocham życie, święte i kochające,

Ty wiesz.

I dzisiaj upadam przed Tobą, jasna Bogini, po raz pierwszy prośbę Ci składając; choć wiem, że ostatnia to moja prośba, Pani; kocham kochanie moje więcej, niż życie i o śmierć Cię prosić będę. Weźmij życie moje w ręce przeczyste, a daj mi kołczan szatana i strzały śmierci. Daj mi, Pani, nienawiść większą od miłości, serce czarniejsze od oczu Lu-

cypera — abym ocalił kochanie moje, a wroga mego zgubił, i zmiażdżył, i zgonił go z oblicza ziemi, na której rość mają lilje polne i pachnieć sosny; otoć oddaję życie moje za prośbę moją — Ty, Bogarodzico, widzisz, boć jest ono, jak śnieg srebrzysty, a Ty, Archianiele i Archistrategu widzisz, iż nie jest ono posypane puchem, jako owoc pożądliwości, a Ty, Chryste, widzisz, że jest ono modlitwą, skłonioną, jak złoty kłos zboża, przed majestatem Twoim, jak przed majestatem słońca“.

A kiedy skończył mówić i nakrył twarz — świętą a cudną ręką z kości słoniowej — rozkwitły z pomiędzy płyt szarego kamienia liljowe irysy, i cztery wąskie strumienie rubinów muzykalnie zaczęły spływać z sufitu — a Bogarodzica pochyliła się nad nim i dłonie Swe na czarnych włosach jego oparła:

„Merkurze, wybrane dziecię Moje. Wyhodowałam cię w ogrodzie rajskim, jak lilję różową a wonną, i jak koral płonący miłością Bożą upuściłam cię na ziemię czarną.

„Słodki Merkurze, dziecię moje, oto nadszedł dzień, w którym szaty twoje, wiecznie białe, staną się purpurowe, purpurą wezwania i pomazania boskiego, usta twe się otworzą, a wyleci z nich ptak chwałę najświętszą śpiewający; oczy twe błękitne zakwitną raz ostatni na padole ziemskim. Prośbę twą biorę i, jak kroplę rosy, na srebrnej tarczy ku Synowi Memu Najmilszemu niosę, a dusza twoja

śpiewający wzleci ku niebosom w różanej zorzy stojącym—i sfery szklane otworzą się nad tobą w nabożnym hymnie, abys spoczął na piersi Syna Mego, jak ów uczeń Jego najmilejszy. Amen“.

A Michał Archanioł postawił krzyż na czole jego — i upadł Merkury, junak święty, na twarz i leżał przez noc całą, a irysy pochyliły się i przykryły go liljowym jedwabiem swych płatków.

A miasto, białym murem otoczone stało w tajni, nocnej, mgłą dymów owiane, które z wiosek gorejących szły— a Tatarowie na horyzontach, czarta objaty sprawując, domostwa z ludźmi, a cerkwie, a dzwonnice, w których dzwony głucho przed pęknięciem grały — palili.

Czternaście trąb złotych zagrało, czternaście srebrnych łabędzi się wzbiło, czternaście lazurowych proporców furkoce, czternaście bachmatów karych podkową iskry krzesze — a piętnasty, biały, bez jeźdźca na przedzie.

Wychodzi Merkury, słudzy dźwierze rozwarli, czerwone zasłony rozchylili, w niskim pokłonie symetrię zrobili — aby on, biały, w białym hełmie z łabędziami skrzydły na tle ciemnem piękny był. Skinął mieczem, co jak grom Pański ku słońcu łysnął—a twarz ma chmurną, a wzrok w dal patrzący nie siny wyda się towarzyszom, jak w dzień zwyczajny, jeno czarny, a brwi sobole zniżone nad nimi, jak dwa chciwe zwierza, a na ustach purpura miast białości osiadła.

Przechodzą mimo niego bachmaty kare z zielonemi nakrywami i

przechodzą mimo niego bachmaty kare z liljowemi nakrywami,

a on

patrzy na lazur nieba, kędy się obłok biały, jak grudka szronu w słońcu rozpływa,—sam biały, jak ów obłok, z dziobem srebrnym hełmu na równym a mądrym nosie, —

bachmat biały sam pod ganek przychodzi—nie słudzy osłupieli, lecz dwaj biali anieli pod rękę go sadzają—drużyna się żegnają—krzyż czynią szeroki, a święty, cud widząc niepojęty.

Bachmat biały na przedzie, na nim rycerz święty, junak okazały, Merkury doskonały — biały, a strzały czerwone i kołczan czarny nienawiści ma za biodrem swoim ku miotaniu — a łuk srebrny, jak łuk tęczy, maluje się za plecami jego, i czyha wróg, — ale i on czuwa.

Na miejskiej bramie czerwone zasłony, obrusy i hafty, złote, ciężkie brokatele zwisają, cegły kryjąc twarde i kamienie zasłoną kwiatów przykrywając, a na ganku stoi sama Eupraksja, księżna dobrej rady, po krążganku dziewice mając naokół siebie,— a wszystkie na Merkurego patrzą.

Na miejskiej bramie ręce białe, piersi krągłe, usta soczyste, zasłony płowe i suknie — po krążganku — a wszystkie na Merkurego patrzą.

Na miejskiej bramie ócz bławatkowych par dwieście, usta różane niewieście — dla których uśmiech miał zawsze — a wszystkie na Merkurego patrzą. A on czynem ponury prosto przed siebie spogląda, gdzie w bramie ozwartej step się szary rozłożył daleko,

a na tle jego,

jak czarne mrowniki, sterczą czarne namioty, wieże, jurty, schroniska, dymem kurzą ogniska i jak czarne szatany — miecą strzały — Tatarzy.

Brwi sobole położył na lazury ściemniałe ócz, i nie masz uśmiechu — i napróżno mu Eupraksja, księżna dobrej rady, białą chustką powiała — nic nie widzi, nie czuje, nie słyszy.

Po stepie zielonym, szeroko, szeroko rozpostartym, w półkole wszystkie pułki tatarskie stają, szykują broń, łuki i oszczepy, a kto buławy, lub szable, lub miecze — kibitki zataczają, konie mają gotowe, skaczą w pęd, krzyczą przekleństwa i groźby.

A z zamkowej bramicy jedzie tylko czternastu, a piętnastu na przedzie ktoś w bieli.

Skinęła raz pierwszy Zła Dola: pędem ruszą Tatarzy, mali, czarni na stepie zielonym.

A święty Merkury ręką do kołczana sięgnął, pierwszą strzałę krwawą wypuścił i do Boga westchnął.

Raz drugi skinęła Zła Dola: bliżej Tatarowie — prędej z galopa sadząc, więksi się na stepie zielonym wydali, wówczas święty Merkury drugą strzałę wypuszcza.

Raz trzeci Skinęła Zła Dola: zbliżyła się tłuszcza i już mieli do rycerzy doskoczyć, kiedy Merkury, spojrzawszy z nienawiścią, trzecią strzałę wypuszcza.— Zatętniała strzała, a łuk pękł z jękiem. I krzyk, i kłamor i wołanie rozległo się między Tatarami, zawrócili pędem konie i pognali w step daleki, a za nimi Merkury z łabędzim mieczem w dłoni i reszta— aż zginęli prawie z oczu tych, co na bramie grodzkiej stali, w tłumie mrowiska kibitek i Tatarów.

A wówczas z pośród uciekających wyjechał koń rydzy, a na nim Jeździec Piękny, i ku Merkuremu, który był w tyle nieco został, podążył. A był piękny, jak piekło, czarny i cudny i upalny, i miał oczy czarne na tle opalanej twarzy i patrzył niemi prosto Merkuremu w oczy. I szły ich konie przeciw sobie prosto— biały Merkurego i rydzy Jeźdźca Pięknego. I zrównały się, zaszyły sobie w boki, aż się biały safjan obuwia Merkurego otarł o czarną skórę tamtego, jak ciało białej róży o czarny labrador, a twarze ich nalazły się przeciw sobie.

Wówczas

Jeździec Piękny objął ramionami Merkurego i położył głowę jego sobie na piersi i napełniły się uszy Świętego słodyczą muzyki. I ujął Jeździec Piękny sztylet ostry, i uciął głowę Merkuremu.

A ów wziął ją w jedną rękę i uniośł wysoko, aby ludowi ukazać, a drugą w górę miecz srebrny podniósł, na którym kwiat jeden różowej lilji rozkwitł;

i tak święty tułów z głową cudną, a krwią ociekającą w jednej dłoni, a z mieczem z lilją różaną w drugiej, jechał ku bramie grodzkiej — gdzie płacz księżna z damami uczyniła wielki — a na ustach głowy owej białej rozkwitł uśmiech, jak lilja różowa.

Trzydzieści złotych trąb zagrało...

I zazieleniały mury miasta trawą świeżo wzeszłą, i rozkwitły białe tarniny, gdziekolwiek biały koń przeszedł — a on krzyżem wielkim miasto znacząc, poszedł na północ, i na wschód, i na zachód i na południe — aż zatrzymał się przed soborem, co złotem kopuł nad miasto się wychylał — a lud padł na twarz w strachu wielkim. Bowiem drzwi świątyni złote ozwały się z łoskotem, i widać wewnątrz było, jak się światłami jarzyło tysiąca woskowic; i całe niebo anielskie w niem śpiewało — i w obłoku białych błyskawic wyszła Dziewica w gronie aniołów — i wyszedł Archanioł i Archistratega Michał z mieczem w dłoni.

I wzięli anieli trup Merkurego, zasadzili z konia, i wzięła go Dziewica Bogomątka pod rękę z głową, a święty Archanioł pod rękę z mieczem, i powiedli go przed drzwi cerkwi, kędy rosły dwa krzaki tarniny w bieli kwitnącej i zieleń trawy była jaskrawsza, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek.

I anioły złotymi łopatami zaczęły ziemię kopać, a co zanurzą łopatę w ziemię, to wyrzucają garść pereł, lub lazurowych akwamaryn, lub malinowych almandyn.

A to były wszystko uśmiechy Merkurego, i spojżenia jego i słowa jego.

I wykopali dół długi, i sama Matka Boża ułożyła weń młodziana świętego, i głowę Mu przyłożyła, i miecz mu na piersi pokładła i lilję, co się w jeden różany uśmiech z ustami cudnymi zlała. A sama klękała na brzegu i zasypując dół powoli owymi drogimi kamieniami, cudną mu kołysankę swym boskim głosem na wieczne odpoczywanie śpiewała. A co zaśpiewa, a to garść pereł, a to almandyn przyrzuci — aż powoli zniknęła postać święta w powodzi blasków, i twarz mu się zakryła tłumem róż rajskich, co woniejąc na grobie rozkwitły.

„Tak rab boży Merkury w kwieciu położon jest“.

... trzydzieści srebrnych łabędzi się wzbiło, trzydzieści lazurowych proporców zafurczało, trzydzieści bachmatów czarnych podkowami z kamieni iskry krzesze — jeden biały bez jeźdźca na przedzie.

A naokół po stepie koń rydzy krąży, a na nim Jeździec Piękny uśmiech tai czarowny.

**LEGENDA O BASZCIE
ŚWIĘTEGO BAZYLEGO**

MOJEJ MATCE

O dwa dni drogi od Akry znajdowała się wieża starożytna, z białego murowana wapienia, a którą dawniej, za dni rycerzy krzyżowych, zwano basztą świętego Bazylego.

Do onej to baszty schronili się wysłańcy księżniczki Melissandy, z Trebizondy do Akry zdążający, z listem do króla Jeruzolimy, Gwidona, — schronili się nocy pewnej, kiedy ich seldżukowie zewsząd gonili i otaczali.

Wysłańcami tymi byli pan Hermeneryk z Hainault, pan młody, Herykiem powszechnie zwany, oraz dobry giermek jego, z lat pacholących ledwie wyszły, Ybaud, z rodu rycerskiego, acz ubogi, prowansalskiego pieśniarza syn. Obaj młodzieńcy z tego byli znakomici i znani nietylko w trebizonckim kraju, iż układali wiele piosenek na cześć przepięknej Melissandy, która potem cesarzową Konstantynopola, bazylistą została. Wirele ich i sirwenty znane były lasom i górcom Trebizondy, w Jeruzalem śpiewało je rycerstwo, a i w Prowancji, w kraju piosenek miłosnych, niejednen je powtarzał. Piękni byli obydwaj i zawsze strojni, hojni byli, odważni i miłośni — a nigdy się nie skalali rozpustą. Słynęli z czystości

obyczajów, co im niektórzy chwalili, a niektórzy ganiłi — kochali się obaj bardzo i rzadko kiedy się rozstawali. Panem dobrym był Heryk, dobrym giermkim Ybaud.

Seldżukowie ich zewsząd otoczyli w drodze, i wi-
dać przyszła na nich ostatnia godzina: jakoś pod wie-
czór dopadli do baszty świętego Bazylego i tam się
schowali. Wiedzieli, iż nocą Turcy ich tu nie ogarną,
gdyż bali się w ciemności wchodzić do wieży owej,
jako że imię Chrystusa od złego bronić ich nie mo-
gło. A baszta ta była osobliwa, na Wschodzie do
rzadkości nie należąca; lecz rycerze dziwowali się
niepomierne całej jej strukturze, jak i temu, co
w sobie zawierała: pewien pustelnik imieniem Bazyli
był ją swego czasu poświęcił i zamieszkał w niej,
Bogu święte życie swe ofiarując w modłach. Dla
tej to przyczyny nazwano ową wieżę „basztą świę-
tego Bazylego“, gdy już ów pustelnik umarł i kość-
ciec jego powiększył ilość kościotrupów na piętrach
wieży schronionych. Była to bowiem wieża grzebalna
gwebków, czcicieli słońca, którzy Boga prawdziwe-
go nie znając w wielu błędach pogrążeni, aczkol-
wiek zazwyczaj ludzie to byli czyści i pobożnego
ducha. Mieli oni trup każdy za rzecz nieczystą i na
pogardę zasługującą — i umarłych swych wywlekali
do wież, w kilka pięter, z galerjami ku środkowi
otwartymi, wybudowanych, tam ich składając, i na
pożarcie psom i sępom oddając. Wieża ta od śmierci
Bazylego nowych nie brała już trupów, jedynie stare

kości się suszyły, a sępy i szakale, dawne pamiętając czasy, ciągle ją odwiedzały. Stał więc słup ów biały, obły i samotny na wzgórku piaszczystym w pustyni. Samotność wielka była naokół niego i krążyła, jak sokół, powiewając skrzydłami: pięknie tu było, bo samotnie i do Boga i śmierci blisko.

Tu się Heryk z giermkim swym Ybaud schronili na noc ostatnią swojego żywota. Naokół, gdy ciemność już zapadać poczyniała, ogniska zaczęli palić Turkowie, tworząc wielki kolisty łańcuch, kręgiem otaczający całkowitym wieżę i dwóch jeźdźców. Rozumieli, iż skoro dzionek świtać pocznie, nie ich od krwiożerczości tureckiej nie uratuje: pięknie więc im tu było, bo samotnie, i Boga i śmierci blisko.

Na samym szczycie usiedli chłopakowie, zbroje ciężkie składając obok siebie, i patrzyli w gwiazdy. Jedna świeciła blaskiem błękitnym: pono z tą gwiazdą związane były losy księżniczki Melissandy. Rachowali je tak sobie i milczeli. Dużo myśli mieli w głowie. Potem powiedział Heryk:

Gwiazdy błyszczą nad naszemi głowami i Bóg. Módlmy się, giermku mój, Ybaud.

I odeszli od siebie i modlili się. Cienie ich, pochylone pod ciężarem myśli przedśmiertelnych, czerniały na tle nieba i gwiazd. Szczupły Ybaud zdrzemnął się lekko, gdy zbudziło go dotknięcie ramienia. Oczy jasne, oczy pana Heryka patrzyły nań w ciemności.

Ybaud, — powiedział młody pan Heryk — Ybaud, północ już minęła i dzień wkrótce zaświta. Trzeba byśmy tak uczynili, jak zdawna zazwyczaj czynią rycerze w obliczu śmierci. Wysłuchaj spowiedzi mojej.

Ybaud się podniósł.

Nie panie — odparł — wprzód niech się twój giermek ukorzy przed tobą, jak przed kapłanem. Mówię do ciebie, bracie, jak do Boga samego.

Pan Hermeneryk usiadł na złomie piaskowca, a giermek jego ukląkł. Cisza była wielka w nocnym powietrzu. Szakał pewien myślał, że wieża jest pusta i przyszedł aż tu — spostrzegł dwóch rycerzy, ale się nie bał. Siadł sobie opodal. I on wysłuchiwał spowiedzi giermka Ybaud.

Niedużo mam sobie do wyrzucenia — powiedział ten, przeżegnawszy się i popatrzwszy raz jeszcze w oczy Hermeneryka — Boga kochałem i Chrystusa, krew swą za grób jego najświętszy przelewałem i rycerskich przysięg zawszem chciał dotrzymywać. Byłem czysty w mowie i uczynkach. Sam wiesz, panie (poprawił się), bracie, jakom szlachetny żywot wiódł. Jeden mam tylko grzech ciężki na sumieniu. Grzech to wielkiej wagi, i straszno mi go w chwili śmierci swojej przypominać. Żałuję zań w godzinę śmierci, i niech mi Pan odpuści go na niebiosach, jak ty mi go tu, na padole ziemskim, odpuścisz, bracie.

Pamiętasz, bracie, jakem to przybył z dalekiej Prowancji na dwór północny twego ojca, Filipa z Hainault. Pamiętasz, jak byłem małym chłopakiem, który wszystkiemu się dziwił. A tyś mnie uczył wszystkiego, coś sam umiał.

Hermeneryk położył rękę na głowie giermka i przychylił ją ku sobie. Przytulił się giermek do pańskiej piersi, i spowiedź stała się mniej chłodna, a bardziej braterska.

Miałeś wtedy bardzo zdziwione oczy — byłeś dzieciak i cieszyłeś się, gdy ci dano spodenki białe w różowe pasy.

Tak, panie, tak, bracie. Od dnia owego byłem ci bratem i towarzyszem wśród wypraw i bitew; i wśród wesołej biesiady wiernym byłem ci sługą — tu nie mam wyrzutów sumienia. Towarzyszem byłem twoim i czasu pokoju, towarzyszem w pieśni rycerskiej. Razem chwaliliśmy królowną Melissandę. Pamiętasz tarasy Trebizondy? Morze lazurówem pasmem rozłożone, a na niem białe żagle: to wiozą frukty, to wiozą manele królownie Melissandzie. Melissanda ma zostać bazylistą. Pamiętasz, jako królowna siedzi na najwyższym tarasie wśród pochodni; astrolog pokazuje jej gwiazdę niebieską. O, tę, z którą jej losy są związane. Widzisz, jak teraz jaśnieje. — Kochaliśmy razem Melissandę. Pod tarasami pamiętasz piosenkę, jak ciągnęliśmy smykami po strunach skrzypek, śpiewając wirele:

Melissanda, Melissanda,
Gwiazdy śledzi w ciemną noc.
Poco gwiazdy w nocy badasz,
Gdyś jest sama panią gwiazd?

A królewna była nam przychylna. Ale któremu więcej, niewiadomo — chyba, że młodszemu; dała mi swą wstęgę pewnego wieczoru. Wiesz o tem, bracie? Ale tu zaczyna się mój grzech.

Znowu się wyprostował; na klęczkach, nie patrząc w oczy spowiednikowi, mówić począł głosem matowym i zdecydowanym:

Oszukiwałem królewnę Melissandę. Nie dla niej grały moje smyczki. Nie dla niej wstawałem w nocy, aby iść na zamkowe tarasy. Miałem w sercu grzech większy, niż wszystkie grzechy; a nie wyznałem go nikomu, nawet na spowiedzi. Pożądliwość miałem w sercu mojem i miłość wielką ku panu mojemu, młodemu Hermenerykowi z Hainault.

Heryk drgnął — i ręka jego, spoczywająca na głowie giermka, opadła. Spojrzał na gwiazdy i spojrział na wschód. Chłód wiał od pustyni. Słońce miało wstać. Gwiazdy bladły, ale puszysta gwiazda Melissandy paliła się nad ich głowami. Ybaud ciągnął dalej.

Odkryłem to w sercu mojem dawno, już bardzo dawno. I nie miałem już odtąd ciszy, ani spokoju. Przepadły dla mnie polowania cudowne i rybołówstwa. To jeszcze było na cichem, bladym jeziorze we Flandrji, kiedyśmy z wody sieci ciągnęli

długie i szare. Patrzyło wtedy na nas niebo niskie i pochmurne — woda była gładka i szara, a krople spadały z wiosła, stukając, jak moje serce. Wtedy to ono serce powiedziało mi: pożądlivość jest we mnie ku panu twemu. — Albo później, kiedyśmy w podróży, zapukali do wioski przydrożnej, do chaty chłopskiej, i spoczywaliśmy na sianie w stodole, z ręką przy ręce, pod płaszczem jednym, bo było dżdżysto i chłodno. Ciemno było i pachnąco od siana, ale mi się zdało, że piękniej jeszcze wonieje ciało twoje w ciemności. Wstałem po północy cichaczem i na klepisku ległem krzyżem, wzywając tego ku obronie, który się kwapi ku wzywającym Go. W walkach, panie, truchlałem na myśl o śmierci twojej i modliłem się Bogu, aby pozwolił nam zginąć razem. Bóg widocznie wysłuchał modlitwy mojej i widać nie bardzo gniewny jest na grzechy me.

A kiedy przed tarasami trebizonckiego pałacu opiewaliśmy imię Melissandy, tom ci nie o Melissandzie myślał, jeno o panu moim Heryku, który łaskaw był na mnie, jako pan i rycerz. A kiedyś służył, jak w twoich wirelach imię Melissandy drżało, miotałem się w brzydkiej zazdrości i płakałem nieraz; ale cicho tak, abys ty nie wiedział, że ten, któregoś od maleńkości do twojej szlachetnej zbliżył osoby, brzydkość ma w sercu, i grzech czarny, i zatwardziałość tajemną. Kajam się oto przed tobą, spowiednikiem moim, żałuję w godzinę śmierci mojej i błagam

cię, abys mnie z grzechów owych rozwiązał i wybaczył mi, aby mi Ojciec niebieski w wysokości błogosławił i łaskaw na mnie był. Wina moja ciężka i niezmierna. Kajam się, w proch padam przed tobą, jako przed Boga namiestnikiem.

Pochylił się głęboko do stóp swego pana. I była cisza.

Amen — dokończył swej spowiedzi Ybaud.

A Heryk podniósł twarz na niebo i gwiazdy, które gasły.

Niech ci będą odpuszczone grzechy twoje, giermku ukochany — powiedział szeptem.

A potem dodał:

Pozostań na klęczkach, bowiem świt już wstaje, a spowiedź moja jest niedługa.

Giermek wyprostował się, przysunął się ku panu i oparł mu ręce na kolanach. Poszukał wzrokiem jego oczu, ale ich nie znalazł. Rycerz patrzył na brzask wstającego dnia.

W Imię Ojca, i Syna i Ducha — powiedział Heryk zwolna i uroczyście. Niema we mnie inak-szych grzechów, krom tych, coś ty przed chwilą mówił. I ja oszukiwałem Melissandę: jest we mnie miłość, i pożądliwość, i kochanie wielkie i bez granic ku giermkowi mojemu, imieniem Ybaud.

Tu dopiero spojrzeli sobie w oczy. Stawy górskie nie są tak głębokie, jak były w tej chwili oczy Heryka i Ybaud. Uśmiech się narodził z tego spoj-

rzenia słodki i moc mający w sobie, moc świętych pańskich.

Ofiarowaliśmy miłość naszą Panu — powiedział Hermeneryk — i niemasz w niej już grzechu. Pan pobłogosławił znać jej i razem pozwolił nam umrzeć. Bowiem wybacza tym, którzy miłują.

Gwiazdy gasły zwolna, a oni milczeli. Nic już więcej sobie nie powiedzieli. Zastygli tak na długo. Ybaud na klęczkach, a Heryk patrząc w dal.

Skoro świtać poczęło, zeszli w dół chłopakowie, trzymając się za ręce. Nawet zbroi nie przywdzieli.

Pochowano ich obok baszty. Melissanda odbyła pielgrzymkę do ich grobu; byli to bowiem pieśniarze, którzy najszczerzej ją miłowali w pieśniach swych. A potem odjechała i była bazyliisą. Ale w pałacu carogrodzkim pamiętała o umarłych. Grób zaś pozostał w zaniedbaniu. Tylko corocznie na wiosnę kwitają na nim krokusy i szafrany: bowiem czyści tam śpią, a sprawiedliwi.

**LEGENDA O ŚWIĘTEJ
BALBINIE NIEZNANEJ**

ZOFJI WOŁOSZYNOWSKIEJ

W papierach pewnego lejtenanta marynarki angielskiej, który zmarł na febrę w czasie przejazdu przez Ocean Indyjski, znaleziono następane cztery listy, pisane na papierze z jego pieczęcią i nazwiskiem, lecz bardzo niekształtnym i niewyrobnym charakterem. Zmarły podobno pisma te znajdował odbite w dziwny sposób co pewien przeciąg czasu, na swoim biurku. Zawdzięczając uprzejmości doktora Beard A. Turnera oryginały/ owych listów mam w swoim posiadaniu.

LIST I.

Ja myślałam, że ty to Kukulala, nasze bóstwo. Bóstwo, któremu co wieczora moja stara babka stawiała garnek mleka. A mój nagusienki braciszek przynosił z lasu takie fioletowe kwiaty, co ty je lubieś. Ale ojciec Anioł powiedział mi, że Kukulala to nie bożek. Mówił mi o prawdziwym Bogu. A ja jemu wierzę. Bo on bardzo mądry — ojciec Anioł. Raz on mnie się spytał o ciebie; spytał się tak brzydko: „no, a ten marynarz John?” A ja wiem, że ty nie jesteś John, ale ty jesteś św. Jan Chrzciciel.

Kiedy ty pojechałeś, to ja wcale jeszcze nie wiedziałam, że ty jesteś św. Jan Chrzciciel. Matka myślała, że ja będę krzyżeć i bała się bardzo, bardzo, a ojciec przygotował bambus. A kiedy ja przyszłam z więzią bananów, to tylko spytałam się: „Czy to prawda, co mówi mój nagusieńki braciszek, że John już pojechał?” A gdy mi ojciec powiedział „tak” i matka powiedziała „tak”, to ja utłukłam jak zwykle manioku w mojej stępie; i dałam kurom jeść, i dałam kozom jeść, i dałam bratu jeść — a potem stanęłam na progu. I myślałam: „czemu pojechałeś?” A potem poszłam ku rzece. Szłam tą ścieżką, którą chodziłam codziennie. Rwałałam kwiaty, ale zaraz rzucałam. Węże na mnie syczały dzisiaj. Nie wiem skąd się tam węże wzięły? Dawniej nigdy ich tam nie było. Potem doszłam, aż na sam brzeg rzeki — tam, gdzie piasek taki złoty. Zostawiłam ślad mojej stopy na piasku. A potem palcem mieszałam wodę, i rzucałam na nią liście, i bawiłam się. A byłam smutna bardzo, bardzo.

A kiedy przyszedł ojciec Anioł, to mówił, żebym się modliła. I dał mi taki obrazek, i powiedział: to jest św. Jan Chrzciciel — a ja zaraz poznałam, że to twój obrazek. I mówię: „To John Marynarz”, a ojciec Anioł: „nie, to Chrzciciel, a nie marynarz; on wodą ludzi polewał. Trzeba żeby i ciebie polał”. A ja mówię (pamiętasz jakieś to na mnie wodą rzeki tryskał), a ja mówię, że już. I odtąd mi ojciec Anioł mówił dużo. I jeszcze mi mówił o Bogu i o Jezusie i o Duchu świętym, co jest biały jak ptaszek. A bar-

dzo to mi się podobało. Zaczęłam chodzić do domu ojca Anioła. Tam pięknie jest bardzo, bardzo. Ojciec Anioł pokazał mi znaczki i powiedział co jest a, a co jest b; i inne też pokazał. A ja ojcu przyniosłam ljan kwitnących i miodu i bananów i kości. A potem to ja chciałam, żeby mnie nazwano John, jak ciebie, ale nie można. To mnie nazwano Balbina. To jest bardzo ładne zawołanie. A ojciec Anioł powiedział, że będzie pisał do Johna Marynara, co tu był. Pytał, co mu napisać. Ale mnie nie trzeba pytać. Ja wiem, wiem, bardzo, bardzo wiem, że ty jesteś nie John, a święty Jan Chrzciciel. Święty Jan Chrzciciel ma takie same białe ciało jak ty, i ma włosy kędzierzawe jak ty masz, i ma oczy takie jak rzeka, i smutne oczy, bardzo — bardzo.

I ja prosiłam anioła, co stał przy mnie wczoraj, jak ja spałam, żeby on ci napisał to, co ja chcę. I on powiedział, że napisze.

I oto ja wstałam w nocy i poszłam. I siedzę na brzegu rzeki i patrzę w tę stronę, gdzie ty pojechałeś i mówię szeptem te słowa. A anioł je pisze u ciebie przy łóżku. Ty śpisz, a nic nie wiesz. A ja Balbina mówię tobie słowa moje, a ty je będziesz słyszał. A ja pójdę sobie już do domu. Na piasku zostaną ślady moich czarnych nóg. Na twoim papierze ślady moich liter... a ty może pojechałeś, aż do nieba, a zawsze pamiętasz o Balbinie. A ja pójdę ścieżką do domu w nocy i bez strachu pójdę, bo będę mówiła: kocham ciebie bardzo, bardzo.

LIST II.

Znowu anioł siadł na twojem wezglowiu. A ja mówię mu słowa kochane, słowa dalekie. I pytam się czemuś święty, a opuścił mnie. Nie wiesz, że ja już czytam, że mi ojciec Anioł dał taką książeczkę, co w niej napisane, jak się modlić trzeba. Do Kukulali nie trzeba się modlić, on jest mały bożek; on pije mleko, on lubi kwiaty. A duży Bóg lubi, żeby się modlić. I kochać. Ja bardzo, bardzo kocham ciebie, mój święty Janie. A ty nie wiesz, że ja mam nową suknię. Ale ojciec Anioł mówi, że nie trzeba się chwalić. I nie wiesz, że ja już opuściłam ojca i matkę, i mieszkam w misji. Raz wróciłam tam do domu. Ale tam smutno, płakałam potem. Kukulala bez kwiatów, a matka płacze, a ojciec gniewa się. A ciebie nie ma. Tak mi się zdało, jakbyś ty był. Gdy szłam ścieżką do domu, to chciałam słyszeć twój krok za sobą. I słyszałam krok. To pewnie był cud. Ale słyszałam krok. A potem zamknęłam oczy i słyszałam twój śmiech. I twoje oczy. Kiedy śmiałeś się to miałeś takie fałdki naokoło oczu. Pamiętasz? A czy ty się śmiesz tam kiedy? Ale gorzej, bo ja doszłam do domu i śmiałam się, bo myślałam, że to ty siedzisz przed domem. Czy chciałbyś siedzieć przed moim domem? Dałabym ci dużo bananów i dobrych bardzo, bardzo. Ja pamiętam jak ty krajałeś banany i śmiałeś się, że ja tak patrzę. A ja już byłam do komunji, a kiedy ksiądz Anioł dał mi opłatek, to mi się wydało,

że to ty, święty Janie, dałeś mi kawałek banana, i było mi dobrze bardzo, bardzo, i zamknęłam oczy i słyszałam jak ty śpiewasz z aniołami. Bo ty przecie śpiewałeś i cieszyłeś się z radości twojej oblubienicy Balbiny. A ja teraz i czytam i jem i piję, a ciebie niema. A ja dawniej i jadłam i piłam, i ty byłeś. I podawałam tobie jeść. A teraz to już nie można.

A ja bardzo, bardzo jestem głodna ciebie. Ja w nocy nie śpię, ja chodzę na brzeg rzeki; ja kaszlę, ja jestem chora, a ciebie nie ma. Mnie smutno, a ciebie nie ma. Czy to tak dobrze, święty Janie? Ojciec Anioł mówi, że Pan Bóg tak robi, żeby było dobrze. Ale to nie bardzo dobrze, że ja chcę ciebie widzieć, a ciebie niema. I ja płaczę bardzo, bardzo.

LIST III.

A teraz to ja jestem zupełnie chora. Ojciec Anioł dzisiaj do mnie przychodził i spowiadał i dał mi komunję. I pytał się, jaki mój największy grzech. A ja mu powiedziałam, że może to grzech, że ja kocham św. Jana bardzo, bardzo. A on się śmiał i mówił, że to nie grzech. To dobrze. To może ja pójdę do nieba. Bo ojciec Anioł coś tak mówił. To znaczy, że ja umrę, a ciebie nie zobaczę.

Przyszła matka. I brat. Urósł teraz taki duży; już zabił antylopę. Sam. Taki mocny. Mówił, że nosi kwiaty Kukulali. Przyszedł ojciec Anioł. Przy-

szło dużo murzynów i murzynek. I tych, co chrzcili się i tych, co nie chcieli. A ty nie przyszedłeś. Ja bym ciebie powitała bardzo, bardzo. Jak Maryja Elżbietę. Ja bym ciebie pozdrowiła słowem Pańskim. Ja bym ci nogi umyła i ucałowała. Ja bym dotknęła ręką twoich włosów — (one są takie jak kora starych drzew w lesie, kiedy słońce je oświeci). Ja bym dotknęła ręką twoich miękkich włosów, ja bym dotknęła ręką twoich bardzo miękkich włosów. A potem bym dotknęła ręką twoich rzęs. One są ładne. One są piękne. A potem palcem poprowadziłabym po twoich ustach. To dziwne jakie twoje usta podobne są pewnie do banana: takie suche i takie miękkie i takie wonne. A może i takie słodkie. A potem dotknęłabym twoich piersi; one są bardzo zimne i białe i takie gładkie jak ta sukienka, w której ojciec Anioł modli się do Boga, do Matki Bożej i do Ciebie. A moje piersi są czarne. A dawniej to one były gładkie, a teraz wyschły; są wiotkie, jakby z nich wszystkie mleko wyssały złe duchy. Ale mnie nie potrzeba mleka, bo ja nie mam i nie będę miała małych, czarnych murzyneków i one nie będą się kąpały z krzykiem w tej rzece, w której ty kąpałeś swoje święte ciało. A potem ja bym dotknęła twoich białych nóg. Pamiętam jak one błyszczały w falach rzeki i teraz bym je pocałowała, jak ta fala. Bo one są dobre bardzo, bardzo.

Taka byłaby moja modlitwa. W mojej książce, co ja ją czytam, niema modlitwy do św. Jana. Ale

mój brat i mój ojciec, jak modli się do Kukulali to kładzie mu dłoń na głowie i na piersi i na brzuchu, i taka jest ich modlitwa. I ja także.

Ale ty nie przyszedłeś. A ja na ciebie czekam. Oni modlą się za mnie. A ja mówię im: „nie, nie, jeszcze nie umrę, póki nie przyjdzie święty Jan“ i patrzę w okno i mówię te słowa twemu Aniołowi. A tam już robi się ciemno. Ale widać rzekę. I ścieżkę do rzeki. Ta ścieżka, czy ty ją pamiętasz? Mijałeś mnie na niej. Słyszę twoje kroki za mną, — a może to ty idziesz teraz tą ścieżką? Może to ty... A ja długo chodziłam po tej ścieżce sama. I smutno mi było. Zrywałam kwiaty i modliłam się na książce i miałam nowe suknie i ojciec Anioł mnie kochał i mówił, że ja jestem dobra chrześcijanka, a ja byłam smutna i płakałam bardzo, bardzo, i często patrzyłam w tę stronę, dokąd ty pojechałeś.

LIST IV.

A teraz ja już umarłam. W niebiesiech jest dużo, dużo świętych, o których nikt nic na ziemi nie wie. I ja z nimi jestem. Kochałam ciebie, Janie. Teraz już dużo rozumiem, bo nie jestem czarną. Dużo rozumiem, ale nie wszystko. Nie rozumiem czemu jestem święta. I nie rozumiem, dlaczego Bóg taki dobry. I nie rozumiem dlaczego święty Jan Chrzciciel naprawdę tak bardzo do ciebie podobny, Johnie.

DEMETER

GODY JESIENNE

AUGUSTOWI IWAŃKIEMU

I.

Zaledwie ku końcowi lata powrócił Stefan ze swej podróży. Zostawił swe anatolijskie stado między Odessą a Bałtą, a sam parą młodych ujeżdżonych w drodze ogierków zdążył przez Jarowatkę, Konełę, Żaszków i Stawiszczę ku Lachowej. Pochylone a niebieskie niebo sprzyjało jego podróży. Nocował po karczmach dość schludnych, gwarnych z wieczora, a nocami cichych. Jeszcze miał pełno przed oczyma ludzi, gwaru południa, barw rozmaitych, piramid, klasztorów małaazyjskich; czasem w ciszy nocnej, gdy coś go budziło z cichego, zdrowego snu, stawała mu przed oczami ściągła, opalona twarz i czarne, żywe, wielkie oczy Juljusza; blask celi, w której się żegnali, a potem owa noc „sub Jove“, która była ostatniem o nim wspomnieniem. Przed dwór zajechał jakoś pod wieczór; nachylony ku ziemi, obszerny i spokojny, czekał na niego, koralem dzikiego wina owinięty. Niebo było sine i spokojne. Z drogi, kurzu i gorąca wszedł do sieni chłodnych i obszernych, gdzie przydymione zwierciadła przywitały go bladym uśmiechem. Zaledwie zrzucił burnus zakurzony—zaskrzypiały tafle starej posadzki—przeszedł

przez jadalnię z saskimi talerzami na ścianach, uśmiechnął się do zegara, a potem w swoim gabinecie przymierzył grzbiet swój do skórzanego oparcia fotela.

Przez niskie, sięgające prawie ziemi okno widział kwadrat światła: niebieski cień muru ze snopem czerwonych kwiatów, traw i złocących się już głogowych krzaków. Czarna kura gmerała pod niskimi gałęziami. Niebo dziwnie było słodkie i ciche. Od strony toku dolatywało stukanie cepów, tak równe i spokojne, jak uderzenia Stefanowego serca. Pokój ciemny, obejmował go chłodem i całował, witając z podróży.

Ciotka Felicja wyjechała na odpust i jeszcze nie wróciła, nie spodziewano się go dzisiaj, a Krystyn poszedł do ogrodu. Profesor jego wyjechał po książki i na odpoczynek do Krzemieńca, więc jest tymczasem sam. Czy każe podać obiad?

Stefan odprawił lokaja i zwolna przeszedł się po pokoju. Zastanowiła go cisza i wrażenie pustki, jakie zastał po tak długo oczekiwanym powrocie; lecz, że nad tego rodzaju rzeczami nie mógł długo rozmyślać, skierował się przez salon. Cisza i spokój wydały mu się tu chłodem i martwością. Martwo lśnił marmurowy posążek, zakryty prześcieradłem, jak również parę obrazów; białe ściany szkliły się wilgotnym blaskiem olejnego malowania, a okna, zasunięte białymi roletami, dawały puste światło.

Zszedłszy po kilku stopniach werandy, osadzo-

nej więdnącymi heljotropami, które pachniały smo-
listo i gorzko, począł iść krętą ścieżką między drze-
wami i przyszyżonymi krzewami ku dołowi; gorąco
przelewało się przez liście i przez fibry jego ciała,
pieszcząc go lekko tą słodką pieśczołą, jaką mieć
mogą tylko dnie późnego lata. Słodycz powietrza
i zapachów, słodycz pukania cepów na klepisku obej-
mowały mu łagodnie głowę. Niby dalekie wspo-
mnienie pocałunku w usta. Zszedł ścieżką do sa-
mego stawu. Usiadł na białej półokrągłej ławce. Staw
był kryształową błękitną taflą; był łamki niby ze
szkła i zdawało się, że gdybyś rzucił weń krwawem
jabłkiem, zachrząściłby jak młody lód. Na przeciw-
nym brzegu ustawiły się rzędem, tworząc ścianę,
jabłonie i spokojnie przyglądały się sobie w wo-
dzie; były już nie zielone, a szaro-brunatne z zielo-
nemi plamami, między którymi złote i purpurowe
kule owoców lśniły dziwnie młodo i jędrnie, odbi-
jając od starych liści. Szczególnie pięknie stało jedno
drzewo rajskich jabłuszek, całe okryte koralowym
płodem, tak, iż samo się zdało koralowe.

Wtem staw się zarysował jak pęknięta szyba
w podłużne fałdy i zupełnie łamiąc jego przejrzystość,
wyplynał biały łabędź. To zlewał się z obłokami
odbitymi w wodzie, to stawał się biały i miękki,
rzekłbyś bez kości, w złotem powietrzu i niebieskiem
odbiciu sklepienia. Stefan zdumiał się bogactwem
obrazu. Nie zdawał sobie sprawy, ile rzeczy obudził
w nim ów łabędź. Dopiero w parę dni później przy-

pomniął sobie tego łąbędzia na spokojnym stawie, wówczas gdy przybył markiz; ale teraz zastanowił się tylko, ile dojrzałej potęgi kryło się w tym całym obrazie.

Wtem wilga frunęła przez staw, a za nią kamyk zachrupotał w wodzie — a potem ozwał się głos chłopca mający naśladować wilgowe śpiewanie. Stefan się skupił na spotkanie brata. Miał dziwne uczucie, jakby właśnie w tej chwili zrzucił z siebie cały ciężar zewnętrznej podróży, a zabierał się do jakiegoś nowego wędrowania przez piramidy i klasztory własnej wnętrzni.

Z za krzaków ze ścieżki wyskoczył wyrostek, w przyciasnem ubraniu, które tylko podkreślało wyszarpywanie się jego ciała z więzów dzieciństwa i rwanie się do pełni rozrostu i rozkwitu. Stał zmieszany i zapłonił się.

Stefan się zdumiał. Gdyby nie był przygotowany na ujście brata, byłby go nie poznał. Z dziecka przedtrzechletniego został się siny wzrok i różany kolor policzków. Pozatem nic.

Krystyn wahał się przez chwilę. Potem powoli i niezgrabnie podszedł do Stefana, ujął go po chłopsku za rękę i ucałował; Stefan nie bez wzruszenia, ale i z kroplą ironji na dnie spodróżowanej duszy ścisnął go za głowę. Krystyn milcząc stanął przed Stefanem i kręcił w ręku wielki słomiany kapelusz. Kontur jego postaci odciął się czarno na tle stawu; osy złote, muszki i ważki błyskając w świetle słońca

poza nim odrysowywały konturów jaśniej, wyraziściej. Miód głęboko organowymi tony pachniał w płynnym powietrzu. Stefana zdziwiła nieśmiałość Krystyna. Starał się wyłowić szafir spojrzenia z niebieskiego cienia, w jakim była ukryta twarz; uśmiech dziwnie domkniętych ust zastanowił go.

— Nie czekaliście na mnie dzisiaj. Ciotka wyjechała?

— Tak, panie bracie.

— I pan profesor umknął?

— Tak, panie bracie.

— A ty bąki zbijasz?

— Tak, panie bracie.

Twierdzenia te wypowiedziane chropawym, mutującym głosem, nie pozbawione były przyjemnej twardości; a ostatnie drgało taką radością i uśmiechem— przytem wówczas dopiero Stefan wyłowił szafirowy wzrok, patrzący nań z ciekawością i radością.

— Stefan, jakiś ty uroczysty — wybuchnął narazie ów głos całą gamą, poczem Krystyn rzucił mu się na szyję. Uczuł jak twarde usta parę razy musnęły mu policzki, ba nawet ojcowskim gestem czoło, lecz objęcia mocne nie pozwalały mu otworzyć oczu—jakiś ty uroczysty! Czy to na zachodzie, czy w Turcji nauczone cię tych ceremonij? Zresztą u nas jest już nieco modniej. Nie dziwiłbym się, żeby mnie tak ciotka Felicja przyjęła, ale ty! — —

Stefan nie wykrzeszał jednak z siebie czegoś,

coby nie trąciło ciotką Felicją. Krystyn też przygasł i wstał z ławki.

Pójdzie przygotować posiłek. Au revoir.

— Czy to też z repertuaru ciotki?

Staw znowu zastygł w szkło. Łabędź odpłynął. Cepy stukały, a dojrzałe jabłka padały zrzadka. Jabłko, które dojrzeje, samo opada. Zdumiał się Stefan nad swoim przyjazdem.

II.

Przy obiedzie, który spożywali we dwójkę w ciemnowej jadalni, Stefan zaproponował bratu przechadzkę.

— Od jutra wezmę się do rachunków i oglądania zbiorów, przeto nie będę mógł tobie towarzyszyć. Chodź, Krystyn, pójdziemy w pole.

Jednakże Krystyn wymówił się, obiecał ciotce przypilnować czegoś tam w gospodarstwie, gdyż i kłuczniczka ciotce na odpust towarzyszyła. Musiał pozostać.

Stefan więc sam wyruszył. Wieczór wstawał chłodnawy, a przyjemny po upale; cienie sine rozkładały się gęsto i jakgdyby z lekką mgiełką; droga otoczona starymi wierzbami, zakurzona, krzywa a wyboista zapachniała dawnymi laty. Nie zmieniło się tu nic; za parkiem folwark otoczony plecionem ogrodzeniem, rowem i wierzbami, na folwarcznych ogrodach krągłe słoneczniki i niskie, ogórkowe za-

rośla; za folwarkiem owa droga, a po przeciwnej stronie ogród cerkiewny, pełen wiśniowych drzew i jabłoni nachylonych i spokojnych. Cerkiewka mała, drewniana, biała z dachem słomianym, czarnym w zielone plamy mchu, błyszczała złotem jedyne go krzyża, ponad pogaństwo archaiczne swojej struktury. Dalej ku polu ciągnęła się nieskończona droga, wijąc się i spuszczać ku dołowi; za ogrodem znajdowała się obszerna lewada z paroma topolami i strumykiem, a dopiero za lewadą nowa gąszcz sadu i dach, blaszany już, zielony dach rezydencji ojca Wasyla.

Stefan szedł ostrożnie i niespokojnie, jakgdyby nie chciał spłoszyć tych obrazów; szedł wzdłuż lewady drogą do mostku i stanął. Stąd widać było dach dworu, sztachety i park na lewo; na prawo za dolinką, gęste, złote ściernie, gdzie się pasały rzadkie krowy; wydało mu się, że wzdłuż sztachet parkowych, ku furtce, która z parku wiodła na lewadną łączkę, biegł pędem Krystyn; zresztą mógł to być jakiś kredensowy wyrostek.

Na mostku zupełnie już było chłodno i opary stroiły daleki widok w cudowny, pastelowy, sinawy ton. Stefan wspomniął suchość pustyni i klasztornych ogrodów, zawieszonych na skałach i piaskach Azji.

Przypomniął sobie wieczorny spacer w małej alei migdałów tam i zpowrotem ze swoim towarzyszem podróży i przyjacielem. Spokojnie spojrzął

w oczy smutkowi, który nań wyjrzał z mgiełki nad sinawym parkiem. Wiedział już tak dużo, ile jego prosta dusza wiedzieć mogła, i smutkowi mógł dać do pocałunku swoje suche wargi.

Mówili wówczas o Syberji; dziwne kwiaty podśniegowe, gile czerwone i złote jabłka na tle białych śniegów, gór sinawych (jak te dalekości teraz przed nim), nieba bladozielonego — a wszystko jako podkład cierpienia. Zadziwił się, że to cierpienie wydało mu się w tej chwili dalekie i obce; ugiął się był dzisiaj pod zapachem gorzkich heljotropów i miodu; pod zapachem młodych pocałunków brata.

Poszedł dalej. Wśród drzew bieleły sztachety popowskiego ogrodu. W furtce stał ojciec Wasyli, bieleł swą siwą grzywą i brodą, płócienną riasą — stał w furtce i patrzył na drogę; czyżby już czekał na Stefana?

Gdy ten się zbliżył, kiwnął ku niemu ręką, gestem spokojnym i spodziewanym; snadź czekał na niego jako na gościa dawno niewidzianego, ale o którym się wie, że powróci. Stefan przystąpił i całując w rękę, uczuł jak biała grzywa przytuliła się do jego głowy. Ojciec Wasyli zaś cmoknął potem potężnie i rzekł basem wielkim: — Zdrow, mamko, Stefan; zdrow, jak się masz? przyjechał nareszcie pan Stefan; pan ziemicy naszej. Bądź pozdrowion w imię pańskie.

Rzucił okiem Stefan na kępy nasturcji żółtych i żółtych nagietek, które przepełniały obłożone starymi ceglami rabaty, na niegracowane ścieżki, gdzie

burzan wystrzelał, na pochylone słupki, czarne ze starości, małego ganeczku, jak go ojciec Wasyli z ruska po polsku nazywał „skrzydełka“. I gdy usiedli na owym skrzydełku na niemalowanych ławkach, Stefan spojrzął w niebieskie oczy ojca Wasyla i powiedział z uśmiechem, który rozchylił jakoś dziwnie dobrze szerokie jego usta.

— Zupełnie, jak za dawnych lat.

— Tak, tak, Stefanek — powiedział Wasyli — co u starego popa może się zmienić.

A potem dodał:

— A wszakże dużo się zmieniło — bardzo dużo i ja sam, i moje dzieci. Wissarjon w Kijowie, ale Hania w domu; zobaczysz jaka panienska; *taka popadjarka, szczo ha!*... — uśmieł się stary, raz jeszcze ucałował Stefana i wprowadził go do domu, do chaty, jak mówił. W sieni było nawpół ciemno, pachniało wilgocią od czarnej dzieżki z wodą, stojącej w rogu i jabłkami, które na półce szeregiem leżały; pod półką wisiały wianuszki czerwonego pieprzu i pęki kminu i anyżu. Razem cała ta gama zdrowych zapachów tworzyła symfonię pamiętną tak dobrze Stefanowi, aż mu się dawna popadia przypomniała, która mu zawsze takich pierników z anyżem i rożenków z kminem dawała, a która tam pod białym brzyżem obok cerkwi zdawna leży, — i aż zdziwiło Stefana, że taki jest już stary.

A gdy siadł na ławie pod oknem, przy stole przykrytym ręcznikami, mając przed sobą cały szereg

złoconych lub staro-czarnych malowanych bizantyńskich ikon,—światło zachodu, fukaje w oknach i geranje, stary, prastary klawicymbał, czy pantalon obok olbrzymich wazonów fikusów stworzyły mu dziwny obraz egzotyki codziennego ukraińskiego życia, której nie miał już od tak dawna.

— Dopiero teraz czuję, jak bardzo tęskniłem do Ukrainy,—ojcze Wasyli—powiedział w trakcie rozmowy.

A jednocześnie czuł — szczególnie, gdy ojciec Wasyli wyszedł na chwilę, aby zarządzić podwieczorek, pożądanie jakiegoś zdarzenia głęboko wstrząsającego, czegoś jak pocałunek dalekiego Julka lub błogosławieństwo kościołów azjatyckich. Patrzył na drzwi, czarne ze starości, czekając na ojca—a w myśli mu się płątały w przemęczeniu podróznem słowa dziwne:

— Bądź pozdrowiony, Djonizy, w imię pańskie— z kazania czy z listu jakiegoś biblijnego, czy z której ojców kościoła księgi.

Wówczas z progu ozwał się głos niski i miękki, mówiący dziwną, a żartobliwie poważną mieszaniną:

— Alliłuja, pane Stepane, dobroha zdrawia, panie Stefanie.

Popówna Hania, w białej, lekkiej sukni, bosa, z miedziano-złotymi warkoczami, jak ciężki kołacz zaplecionemi naokół głowy małej i kształtnej, stała na progu. Usta jej rozchylił uśmiech nieśmiały, a pewny siebie—dwie mocne ręce ujmowały wielką misę

pełną złotych jabłek, niesamowicie okrągłych i talerz, na którym przejrzysty plaster miodu rozpląwał się w bursztynowe strugi słodyczy.

— Bądź pozdrowiony, Djonizy, w imię pańskie—odparł niespodziewanie poważnie Stefan.

III.

W jeden z wietrznych i grożących deszczem dni, Stefan kazał zaprządz czwórkę siwoszów do tarantasa, aby pojechać do miasteczka po lekarstwo dla ciotki Felicji, która przeziębwszy się na odpuszcie, od niedawna leżała w łóżku; przy obiedzie, który był milczący, na tle szarych od chmur okien z deseniem gnących się drzew, zaproponował Krystynowi przejażdżkę.

— Dobrze, ale ja powożę.

Stefan spojrział pytająco na starego lokaja.

— Panicz Krystyn powozi jak furman. Można mu konie powierzyć.

— Więc dobrze, pójdź, Krystyn, do stajni i zjedź przed ganek.

Na dworze było cicho, gdy wiatr nie brzęczał w drzewa; na chwilę zapadały spokojne i ciche momenty, łagodzące balsamem po nawalnych uderzeniach skrzydeł wiatrowych; a potem, gdy jęk i pęd przechodził nad ogrodem, słysząc było, jak dojrzałe owoce padały i suche gałęzie łamiać się trzeszczały. W burce stojąc na furgonie, z klaskiem bicza, za-

jechał Krystyn czwórką ognistych koni, zaczerwieniony, krzyczący a naprężony cały jak do skoku; malinowe lejce wełniane, szyk ukraińsko-ruski, naciągnięte jak struny, a grzechotki brzmiące całą gamą bałagulskiej muzyki. Na ganku stał Stefan, a obok niego Hania, w świtce z brązowego sukna, w chustce z kwiatami.

— Widzisz, Krystyn, pannę wiesz do miasta; bądźże uważny i nie wywróc.

Hania prosiła o odwiezienie jej do miasteczka.

Ze świstem bata, rozkraczywszy nogi, kołem równem jak w cyrku, otoczył Krystyn gazon, zawrócił półokrągło a gwałtownie ku rozwartej szeroko bramie na drogę i, ściągnając mocno konie, które przebierały nóżkami cienkimi i suchymi jakby giga tańczyły, minął lewady, zatętnił na mostku i obok popowskiej chaty, gdzie ojciec Wasyli w oknie siedział i przyglądał się swej pannie, — wyjechał na szeroką, gładką jak pustynia równinę, przeciętą wstęgą drogi równo i akuratnie; niebo niskie od chmur, a na równinnem i bezdrzewnem miejscu jeszcze niższe, grzmiało wietrzną muzyką poszarpanych chmur; na blade szarem podłożu prześwieczonej, mglistej, gdzieniegdzie ledwie widocznej warstwy, szarpały się z wichrem potężne szarosine zwały, a na nich jeszcze od nich prędsze, bo wiotksze, szczuplejsze i bardziej wiatrom oddane, niosły się pędem przejrzyste, białozielone obłoczki. — Ziemia szerniała (zorana niedawno) od deszczu, tłuste swe

boki rozpościerała, miłośnie oddana wichrom, które szły wzdłuż jej ciała, całując ją przeciągle, pieściwie, namiętnie, burzliwie. — Pocałunek ów wiatru rozległych pól uczuł i Krystyn, gdy tak stał i wiew ów między rękawy i między nogi rozkraczone wciśkał się, od góry do dołu obejmując chłodem pieściwym; uczuła wiatr i Hania, mimowoli na siedzeniu się do Stefana przysuwając, a jednocześnie patrząc na profil jego swoim wahającym się a śmiałym wzrokiem.

Krystyn uczuł grę krwi w ciele; palnął z bicza, gdy wtem nadbiegła chmura sypnęła drobnym, przenikliwym jak pajęczka siatka deszczem, — i zaciął konie, puściwszy luźno lejce. W cudownym biegu po równinnej, jak rzemyk giętkiej drodze zafurczały koła bryki, a powietrze z deszczem zmieszane słodkie i piekące jak syrop ze śniegiem, uderzyło jadącym w twarz, ssąc ich rumieńce. — Konie, wyrzuciwszy z pod kopyt dreszcz drobnych grudek ziemi, zatupały szalone i rade, wichrom się dając unieść; gwiznęło im w uszach radosne powietrze, nozdrza rozděły się, ten i ów parsknął rumak. Porwały z kopyta — Krystyn nie myślał o wstrzymaniu, świsnął gwałtownie, aż Stefan i Hania drgnęli, a potem pokrzykiwał z chłopska, przeciągle, dziko, aż konie coraz większa ochota do biegu brała, coraz prędzej, coraz szaleniiej hasały, rwąc za sobą tarantas; grzechotki zlały się w przeciągły jęk, a pacyny ziemi frunęły za wozem w powietrze.

Bryka raz i drugi podskoczyła na wyboju; Stefan się zląkł i chciał wstrzymać brata:

— Krystyn, zwarzowałeś!

Krystyn obejrzał się w uśmiechu i upojeniu, usta rozchylił i wydał jęk ni to bólu ni rozkoszy, pochylając się znowu ku lejcom, koniom i grzechotkom.

Hania poczęła się śmiać rzęsiście, jak ów deszcz, co wisiał kroplami na rzęsach i kosmykach jej puszystych włosów, aż się pochyliła w tył i patrzyła na Stefana blaskiem oroszonych oczu, w których, zdaje się, zamarła iskierka ironji.

Stefan spokojnie wstał, otoczył Krystyna ramionami i wyjął mu lejce z rąk. Gdy począł lekko i stopniowo je ściągać, zarazem objął Krystyna w mocny uścisk, — ten zaś jak węgorz wykręcił mu się w ramionach, objął rękami za szyję i przytulił głowę do twarzy powtarzając: Kochany Stefanek. Gdy konie zupełnie zwolniły, Stefan oddał mu uścisk braterski.

IV.

Podczas następującej choroby ciotki Felicji zauważył Stefan, jak w nim wzrastała z każdym dniem niechęć do brata. Nim sobie to uświadomił, przeszło dni parę. Dnie te spędzał pomiędzy kancelarją, przejmując rachunki od starego ekonoma, a folwarkiem; koło południa zwykł był zaglądać do pokoju chorej.

Zapalenie płuc. Staruszka leżała na wielkiem

mahoniowem łożu pośrodku pokoju, w którym panował zaduch choroby i śmierci; okno zacienione drzewem, zastawione było wazonami, które powiędły z braku polewania, stara firanka przedzielała zielone światło, które niby przez warstwę wody przenikało przez zarośla klonów. Staruszka wciąż leżała na pościeli w szerokiej sukni z fioletowego jedwabiu. Cieszyła się, że ujrzała Stefana przed śmiercią; a radość ta była naiwna i dziecięca. Chrześcijańska radość, z przywiązaniem nie do samego życia, a do drobnostek przedśmiertnych jego. W uśmiechu ascetycznie zawartych ust była słodycz i gorycz zarazem, jako to bywa na świętych obrazach.

Gdy chciała księdza — sprowadzono go. Raz ją odwiedził ojciec Wasyli, lecz odwiedziny te sprawiły jej widoczną przykrość. Zato Hania (uczyła ją nigdyś czytać i pisać po polsku i po francusku) miała wstęp wolny. Przynosiła jej kwiaty: nasturcje i nagietki — a wzamiam dostała od umierającej staruszki ostatnie klejnoty: dwa szmaragdy otoczone złotym wężem starej roboty i ostatnie uśmiechy na tym ziemskim padole.

Pewnego dnia odprowadziwszy księdza, Stefan powracał przez szereg sal martwych i skamieniałe chłodnych wobec gorącego, przelewnego dnia, jaki się rozprzestrzeniał, przebogato rozpierał nazewnątrz. Fryz drzew parkowych o wybujałej, przewiędłej roślinności spokojnym ruchem przemywał swe wielkie liście w roztopionem złocie późnego dzionka.

W komnacie ciotki uderzyła go martwota wnętrza bardziej, niż kiedykolwiek; ciotka cały czas przytomna i gasnąca zwolna, przeglądała stare listy, wyjmując zóółkłe papierki z dużej szkatułki; Hania nachylona, w ciemnawej sukni, słuchała uważnie słów czy szeptów, rzadko się zrywających z jej ust.

Zaduch świec woskowych, choroby, nieprzewietrzanych pokoi, lawendy i zeschłych listków różanych przypomniał Stefanowi lata, kiedy przychodził do tego pokoju na pokutę lub po bakalje. Przysiadł na stołku przy łóżku i pochylił twarz ku jedwabowi ciotczynej spódnicy. Była to ostatnia bliska mu istota; reszta umarła, albo była tak daleko — Aleksander, brat starszy, lub Juljusz.

Ciotka spytała o Krystyna. Hania wstała aby go poszukać, Stefan poszedł za nią; mijając parę sal, zawsze stawał w drzwiach, gdy ona była w przeciwnych; odwracała ku niemu ciężar warkoczy na białym mocnym karku; widział uśmiech i znowu mu znikająca.

Na ganku dopędził ją, stała spokojnie oparłszy rękę o biel kolumny; widział jej postać na tle białej stajni o szarym dachu — czekała na niego.

— Jest w stajni, niech go pan woła.

Wrota stajni, czarne wrota, rozwarły się; na wielkim anatolijskim ogierze, niedawno przez Stefana przywiezionym, parskającym i zwolna ściągany wprawna dłońią, wyjechał Krystyn — całkiem nagi i zupełnie piękny w tej chwili, ze skupieniem zajęty

swym przepotężnym rumakiem mocno dierzył w lewicy cugle, natężając mięśnie ramienia i piersi — w prawej trzymał zieloną jeszcze gałązkę z liśćmi ku popędzaniu. Koń zawrócił w bok i Krystyn jechał profilem do Hani i Stefana pod sklepieniem szerokich klonów, które gdzieniegdzie już żółknąć poczynały. Plamy słońca złote i ciepłe przelewały się po białym ciele Krystyna i po czarnym atłasie sierści konia; krok za krokiem dążyli w owym świetle niepewno-złotem, które raz wraz pokazywało całe kontury lub je zlewało z tłem, tak, iż zdawało się, że koń i jeździec nurzają się w złocie światłocienistej wody.

— Krystyn, — zawołał Stefan z pasją — do ciotki! Chce cię widzieć.

Krystyn ściągnął konia, który zarżał donośnie na głos Stefana, kiwnął przyjaźnie obojgu zieloną rozdwojoną gałęzią i zawołał:

— Zaraz przyjdę, tylko wypłowię ogiera.

— Tylko mi go nie utop! — zawołał Stefan, gdy już z pomiędzy kolumn ganku ledwie było co widać. I wówczas to skonstatował, że instynktowna antypatja do brata weszła we wrota świadomości.

V.

Zaden pogrzeb nie zrobił tak dziwnego wrażenia na Stefanie, jak pogrzeb ciotki Felicji. Ojciec umarł w jesieni, matka zimą. A owo grzebanie w dzień

dojrzały, więdnący i smutny było mu dziwnym pogańskim obrządkiem. Wrócił z miasteczka sam (Krystyn pojechał naprzód) i całą drogę rozmyślał o życiu i śmierci. Właśnie wówczas śmierć wydała mu się dziwną zagadką; wydała mu się nie tragizmem, a słodkim i dobrym snem dla żywej ciotki; jednak z uśmiechem, z pogodą na obliczu, była jeszcze bardziej zagadkowa, niż tamta północna, tragiczna, walcząca, jaka powaliła rodziców.

Przeszedł do pokoju zmarłej; było tu jeszcze nieporządnie i niesprzątnięto — kwiaty stały w kubkach i kuflach; Hani chusteczka rzucona na stoliku. Przypomniał sobie, że Hania od chwili śmierci staruszki nie wychodziła prawie z tego pokoju; z dziwnym upodobaniem sama umyła i ubrała ciotkę w najpiękniejszą starożytną suknię, sama ułożyła ją na łożu. Pamięta, bo był na on czas w pokoju, błysk jej oczu, gdy zapalała gromnice, wielkie woskowe słupy, dar ojca Wasylego, stojące w głowie łóżka. Wogóle dziś dopiero zastanowił się nad oczami Hani. Napozór były zwykłe, lecz czasami miały jakiś dziwny matowy blask, jak gdyby zachodziły mętną mgłą; nie znosił tego tępego wyrazu, sprawiał mu on poprostu ból. Aczkolwiek wówczas właśnie czuł się najmocniej podrażniony erotycznie. W nocy Hania czuwała przy trumnie. Odwiedził ją raz. Na stoliku przystawionym do tylnej poręczy łóżka leżała wielka księga, psalterz ojca Wasylego, dwie świece paliły się na stole; Hania wsparta

na ręku w blasku jarzącym świec równym półgłosem czytała:

— *Dlatego będzie modlić się do ciebie wszelki święty czasu pogodnego.*

Powtórzył sobie w myśli te słowa, otwierając naciężaj okno — wzrok jego padł naprzeciwko, gdzie w sztachetach ogrodu warzywnego i oranżerji istniała mała zakratowana furka. Stał tam Krystyn. Oburącz trzymał czapkę pełną jakichś zielonawych owoców, brzoskwiń chyba; stanął, pochylił się i obejrzał na strony, potem krokiem chybkim i giętkim, wzdłuż parkanu udał się w głąb parku. Stefan również giętko przemierzył wszystkie pokoje, werandę i podążył jego śladami. Napróżno. Krystyna nie dognał. Zresztą zaszedłszy ścieżkami w gąszcza rozmarzył się; gdzieś na ławce usiadł, gdzieś się pogapił na maleńki klonik, który wyglądał jak karzełek, zupełnie już bowiem poczerwieniał i, jak rak szczypcami, przebierał liśćmi; gdzieś zgiął gałąź leszczynową i zerwał pięciorakie gniazdko orzechów; bronzowe już, smagłe, jak młode dziewczęta, zostały mu w ręku. Przypatrywał się im z lubością, nim rozdławił z chrupotem zdrowymi zębami.

Trawa była dziwnie zielona; gdzieś pod parkanem przydrożnym gazonik niewielki nęcił go zielenią soczystą, jakiej nie zna wiosna; astry zabłąkane tu ręką ogrodniczka rozrosły się dziwnie i kwitły, proste pojedyncze, fioletowe i malinowe astry ze złoteni oczami. Spoczął tu Stefan podłożywszy ręce

pod głowę; palcami czuł jedwab swych włosów zmieszany z miękkimi pasmami trawy i myśląc znowu o ciotce, pieścił jedne i drugie muśnięciami łagodnymi, jak uśmiechnięte nad nim niebo. Przez nachylone drzewa i przez drewniane, szerniałe na podmurowaniu kraty sztachet widział cieniem do pół zakrytą wąską, boczną drogę, ciągnącą się między parkiem a okopaną lewadą; kaliny błyszcząły po tamtej stronie drogi i jasne plamy świetlistych polan, czyniące wrażenie nieskończonej słonecznej dali.

Ujrzał, jak drogą za sztachetami szła Hania. Zwolna, w zwykłej swej białej płóciennej sukni z chustką spuszczoną na plecy; profil jej zarysował się na tle jednej z polanek słonecznie oświetlonych; przeszła, a w półotwartych wargach jej drgał niby szept: — Modli się do Ciebie wszelki święty czasu pogody. — A pachnąca pogoda uśmiechała się.

Po czasie niejaki wstał i poszedł wzdłuż sztachetów; ujrzał ich w miejscu najniższem, skąd droga zaczynała się już wznosić. Hania stała na podmurowaniu z tamtej, a Krystyn z tej strony; jedli brzoskwinie i śmieli się. Słońce paliło się na kosach Hani, a Stefanowi zdawało się, że miała w oczach ów zmatowany błysk. Lecz niechybnie była to imaginacja, gdyż stał od nich zbyt daleko.

Krystyn trzymał Hanię za rękę. W pewnej chwili, gdy miała w ustach kęs brzoskwini, dość brutalnie przyciągnął ją ku sobie i rozgniół razem owoc i pełne usta Hani w ciężkim pocałunku.

VI.

Od paru dni Stefan nie widział ojca Wasylego, więc się skierował ku jego mieszkaniu w pewne popołudnie. Jednakże samego popa w domu nie zastał, wyjechał za jakimiś interesami do miasteczka, natomiast spotkał długowłosego młodzieńca, brata Hani, Wiszarjona, lub krócej Arjona, który w dzień ów zrana przybył piechotą z Kijowa.

Siedząc na ławie w izbie rozmawiali sobie o ostatnich zdarzeniach, o Kijowie, o jego świątyniach; przeszli na Akademię, a potem na literaturę. Hania wchodziła, wychodziła, siadała na chwilę, a potem znowu wysuwała się, zawsze spokojna; lub stawała na progu, uśmiechając się nieznacznie i skrycie. Stefan przez cały czas rozmowy z Wiszarjonem, który się coraz bardziej zapalał, mówiąc o dekabrystach, czuł ten wzrok i uśmiech zamknięty, a gorzkie jądro, jak migdał, chowający w sobie, czuł go obok siebie i na sobie.

Niedawno na folwarku wpadły mu w uszy słowa nieprzychylnie Hani; słyszał, że popadjanka ma sławę dwuznaczną lekarki, znającej różne zamawiania, omal nie czary. Niektórzy nawet zdecydowanie mieli ją za wiedźmę.

Włosy miała dziś w dwa warkocze spuszczone, jak węże zlewające się w dół i obciążające głowę; patrzyła na niego spokojnie, ale uparcie, gdy Arjon znikł na chwilę.

— Wissarjon bardzo uczony — powiedziała głosem równym i głębokim — prawda?

— Tak, rzeczywiście dużo posiada wiadomości, dużo czytuje.

— Mówił o Puszkynie, i o Mickiewiczu, i o Rybiejowie i jeszcze tam o kim?

— O Hoholu, który opiewa Ukrainę.

— Aha, tak. On bardzo uczony i dużo czyta. I ja też czytam dużo. Ale o jednym nic nie powiedział — patrzyła wciąż prosto na Stefana.

— O którym?

Uśmiech twardy i słodki, jak czereśnia, zawisł na jej ustach, gdy zobaczyła zdziwienie Stefana. Podeszła bliżej. Usiadła i, podnosząc rękę do poprawienia kos, powiedziała łagodnie.

— O pańskim przyjacielu. Wszak pan o nim opowiadał. I pisał pan z podróży?

— Nie przypominam sobie, abym o nim pisał. A zresztą...

— Zresztą karta mi dzisiaj o panu dużo rzeczy powiedziała.

— Czy pani wróży?

— I owszem, wróżę. Otrzyma pan list od tego przyjaciela.

Przysunęła bliżej talerze owoców i konfitury, stojące na stole:

— Jiżte, panyczu — powiedziała z uśmiechem pokornym, jak dziewczka.

Gama uśmiechów Hani zastanowiła Stefana.

Różne były, a wszystkie na dnie miały słodycz, chyba słodyczkę, tak, iż w końcu zostawiały dziwną czczość, a oczy miały zawsze ironję i błyski niespokojne.

Stefan zatrzymał się przez chwilę w zaczętem zdaniu i nie mógł go już skończyć; patrzył wciąż na Hanię, a ona na niego.

— Jak się miewa Krystyn?—spytała leniwie.

A on się znowu głęboko zdziwił, myślał bowiem w tej chwili o bracie.

— I owszem, nieźle.

Wstał i poszedł do okna; wychylił się, aby zobaczyć, czy zajechały już konie, które miały przyjść po niego. Usłyszał za sobą dwa kocie kroki; potem miękkie dotknięcie ręki na głowie, pieściwe palce zaplątane we włosy obiegły szybkim ruchem szyję otwartą, otoczoną bajronowskim kołnierzem; ręka ta zajrzała w przednie rozcięcie i lekkim munięciem podrażniła skórę, potem, nim się odwrócić zdołał, uczuł mocne przyciśnięcie obu rąk do szyi i pach włosów przytulony do karku.

— Panno Haniu!

A popadjanka odstąpiła w głąb pokoju i począła się śmiać, parszkając jak kot.

— Panie Stefanie! Pan się przestraszył?

VII.

Stefan zabrał Hanię i Wissarjona do swego powozu, kazał służbie poprosić ojca Wasylego, gdy

przyjedzie, aby przybył również, i pojechali do pałacu na wieczerzę.

Słońce równo i spokojnie, zupełnie na różowo, oświetlało ściany chat i drzewa, chyląc się ku zachodowi. Światło było specjalnie jesienne, upojnie intensywne, soczyste, nie pozbawione jednak pewnego chłodu. Niebo zdawało się zmieszane z lazuru i barwy cytrynowej; zupełnie zaś już był żółty cały zachód, gdy na werandzie miano siadać do wieczerzy. Biały obrus sztywnymi fałdami opadał do samej ziemi na niskim szerokim stole i miał na sobie zupełnie szafirowe cienie; talerze i wysokie szklane kielichy błyszczały chłodem, jak zieleni otaczającego werandę wina, na której poczęła osiadać rosa. Wielkie półmiski, wyłożone liśćmi klonów i winogron, dźwigały stosy owoców; były jabłka żółte, czerwone i jabłka różowe; srebro połyskiwało na wielkiej środkowej paterze i na dwu lichtarzach, pełnych niepalących się jeszcze świec; brzoskwinie blado-zielone, jak kule mchu północnego, miały delikatną a przenikliwą woń; rozkrwawiony kawon czynił najcudniejszą plamę; był przejrzały i mięso już więdnące wydawało, rozlewając się w sok, woń osobliwą, obcą innym owocom, wilgotną i nasycającą; stały butelki omszone i butelki przejryste, jak dziwne kontrasty, gdzie paliły się iskry w barwach win bursztynowych, kawowozłotych i całkiem osobliwych, na określenie których niema słów dokładnych; na wielkiej srebrnej paterze leżał chleb

biały pośród całego nakrycia, a obok, lecz nieco niżej, olbrzymi plaster miodu. Wieczorny jesienny chłód ubierał to wszystko w tony dziwne szaro-niebieskie, a dolny koniec stołu ocieniony najbardziej baldachimem pnączy, całkiem tonął w szarości. Stał tam już Krystyn; ze zmarszczoną brwią, czekał na brata i gości.

Lokaje otworzyli szklane drzwi salonu; zdziwieni byli tym przepychem, który kazał rozwinąć Stefan w dniu tym dla takich codziennych i tak niewybranych gości, jakimi była od lat wielu rodzina popa Wasylego. Zbliżyli się mimowoli i uroczyście do biesiadnego stołu. Zamilkli na chwilę, gdyż ojciec Wasyli zatrzymał się na pierwszym miejscu, szeroko z pokłonem parę razy się przeżegnał, a potem podniósł ręce błogosławiąc chlebom, miodom i owocom. Gdy stał tak siwy, biały, poważny w fałdach swojej togi z krzyżem błyszczącym na piersiach, nawet na ustach lokai nie wybiegł uśmiech, a Stefan naprawdę się wzruszył, sam nie wiedząc dlaczego.

Od strony wjazdu rozległ się turkot. Poszóstna karetka osobliwego kształtu otoczyła gazon i przed gankiem stanęła. Wsiadł z niej człowiek dziwnie odziany i, po paru słowach zamienionych z kozakiem przedpokojowym, skierował się ku werandzie. Zbliżył się ku całej gromadce, która już nań czekała i skłonił się przed Stefanem.

Był małego wzrostu, drobny, o rysach ściągłych, bladych, niewyraźnych, a jednak zawierających w so-

bie wiele treści; był w pudrowanej peruce z harca-
pem, kaftan jego i spodnie z bladoniebieskiej ma-
terji oblegały tak ściśle i tak były pięknie skrojone,
że ani jeden fałd, ani jedna zmarszczka nie psuła
harmonji.

Powiedział głosem miłym i zrównoważonym:

— Czy widzę pana Stefana? Miło mi go poznać.
Jestem markizem de Ribeaupierre. Przepraszam, że
przeszkadzam państwu w wieczerzy, lecz sprowadza
mnie tu sprawa, dla pana, panie Stefanie, ważna,
a dla mnie przyjemna.

Weszli na werandę. Nowoprzybyłemu podano
krzesło i nakrycie.

— Przyjemnością jest dla mnie, że mogę sza-
nownemu panu wyświadczyć tę przysługę — ciągnął
markiz. — Przy okazji, ponieważ wiadano, że ma-
jątek mój leży niedaleko pana, przesłano mi list.
Mianowicie księżna de Soupilliers, moja kuzynka...

— Pan jest krewnym Wielkiego? — spytał Wis-
sarjon.

— Tak—spokojnie mówił markiz—moja kuzynka
nadesłała ten pakiet od jednego z pańskich przyja-
ciół z Florencji. Skorzystałem z okazji, aby poznać
pana i całą jego rodzinę.

Lokaje pozapalali już świece. Błękitnożółty blask
rozsywał się po srebrze, talerzach i obrusie.

— Niestety, panie markizie, jestem bardzo sa-
motny — odparł Stefan — z rodziny mam jedynie

dwóch braci; starszy przebywa zagranicą, oto zaś jest mój młodszy—Krystyn.

— Aaa, więc to jest brat pana—otworzył *face-à-main* i przypatrzył się długo Krystynowi — bardzo godny młodzieniec — dodał po chwili i poraz pierwszy uśmiech okraślił jego suche i zawarte wargi. A w uśmiechu tym było tyle dobroci, przebiegłości i ironji, że nawet Krystyn się zadziwił. Twarz markiza tak się od tego uśmiechu odmieniła, że niby nowy znów człowiek usiadł z nimi do stołu.

VIII.

Po kolacji Stefan oddalił się do swego pokoju, aby przeczytać list, gdy tymczasem reszta gości przeszła do salonu. Krystyn pokazywał Hani i Wissarjonowi rzeczy, które Stefan przywiózł ze Wschodu, zaś markiz z ojcem Wasylem gwarzyli, siadłszy na wielkich fotelach po obu stronach wspianego świecznika.

— Powiadam ojcu—ciągnął zwolna, nieco zmierzowanym, ale pięknym głosem markiz — że prawdziwą satysfakcją była dla mnie ta droga. Pogoda cudowna, tembardziej, że jedzie się przez las, a w pewnym miejscu na mostku...

Ojciec Wasyli rozkraczył szeroko nogi odziane w proste bucidła i, założywszy ręce na kolanach, chrząknął szeroko.

— Tak — piękny czas nam posłany od Boga.

Zawszeć to w jesieni dobrze jest sercu i przyjemnie. Obfitość wszelaka.

— Spotkałem—mówił markiz—dzieci, jak biegły z gałęziami kaliny; wyglądało to tak prześlicznie. Owce pasą się i bydło na ścierni. Dymy ognisk się rozściełają w chłodnym już powietrzu. Mamy tu cudowne jesienie.

— Jako żywot chrześcijański. Kiedy życie nam całkowicie się wypełni, a zawsze z łaską bożą było w zgodzie, to tak jest i z żywotem ludzkim. Skłania się ku końcowi i pełen jest obfitości. Składy dobrych uczynków na spichrzach, cnoty, jako miód wonięją po spiżarniach duchowych; spokojność taka w człowieku jest, jako w tym wieczorze. I czeka, jak jabłko, które już dojrzało, na chwilę, kiedy spadnie.

Markiz nie odpowiadał przez chwilę.

— Na chwilę, kiedy spadnie — dopełnił w końcu — aby się dostać do spiżarni boskiej, do śpichrza niebieskiego, kędy gwiazdy niebieskie pochowane błyszczą.

— Aby być ujętym w ręce pańskie na życie dłuższe, niż ta wiosna i lato, co minęły jak z bicia—powiedział ojciec.

— Głębokci z was chrześcijanin, ojczy Wasyli — powiedział spokojnie markiz, przykładając szkła do oczu, aby obejrzeć się po komnacie, na Hanię, Wis-sarjona i Krystyna zerknąć. — Głębokci z was chrześcijanin, powtórzył; jednakże jabym sądził, że zachodzi tu nieporozumienie — uśmiechnął się — mówię

tu naturalnie tylko o allegorji, o obrazie, który szanowny pan przytoczył, gdzieżbym mógł ogólniej to powiedzieć.

— Dlaczego, panie? — prosto i na ironiczny uśmiech markiza nie zważając powiedział pop, — przecie, co tu gadać, wiem, iż pan ani chrześcijaninem nie jesteś, ani wierzysz. Więc może ci chodzi o ogólne chrześcijańskie nieporozumienie.

— Nie, nie, broń Boże — żywo zawołał markiz, składając ręce — chodzi mi jedynie o porównanie wasze, ojczyźnie do chrześcijańskiego żywota. Jestem przekonany, że niema bardziej pogańskiej pory roku. Jest właśnie tak gotowa, to dobrze pan powiedział, jak jabłko, które ma lada chwila spaść, przepełnione sokami swemi i przegnić. Lecz przypomina to raczej kobietę, która tak jest pełna życia i sił żywotnych, że tylko wiatru trzeba, aby ją utracić i aby opadła w ręce czyjeś, które ją przygarną do łona. Chodzi mi właśnie o to, aby tem porównaniem dać obraz piekielnie zmysłowy, głaszczący i pieścący ciało, jaka jest jesień. Wszak prawda, panie Stefanie, — zwrócił się do wchodzącego gospodarza — że jesień jest najbardziej pogańską porą roku?

— Ależ, panie markizie — odparł Stefan — dlaczego pan nie kazał koniom odjechać do stajni? Gdzież można, abym puścił pana przed nocą do domu. Rozkażę, niech w tej chwili rozprzęgną — już kazałem dla ciebie przygotować pokoje.

— Drogi gospodarzu, z chęciąbym pozostał —
pawił markiz — ale boję się, że żona będzie nie-
spokojna. Jest bowiem niezupełnie zdrowa. Zresztą
zostanę, lecz pod jednym warunkiem, który od
wszystkich państwa zależy — od pani, panno Haniu,
przede wszystkim.

Hania zbliżyła się zwolna przez salon. Gdy tak
szła z warkoczami przerzuconemi przez ramię ku przo-
dowi, patrzyła na markiza wzrokiem przyzwyczajon-
ym do widywania jego postaci tak, jakgdyby znali
się już od wieków.

— Odemnie, panie markizie? Coś nowego!

— Bynajmniej, chcę panią prosić o protekcję.

— Proszę, wysłucham pana. — Skinęła głową,
siadając królewskim ruchem w fotelu.

Ojciec Wasyli, aż poczerwieniał z gniewu na
niewłaściwe zachowanie córki, ale ona popatrzyła na
ojca i na Stefana i uśmiechnęła się radośnie.

— Ojciec i pan Stefan, dziwią się, że jestem
taka śmiała z panem, panie markizie. Widzę to po
ich oczach. Ale oni nie wiedzą naprawdę, jaką je-
stem w istocie. Mam czasami chwile, kiedy jestem
bardzo śmiała.

Nikt nie widział, że Krystyn wyszedł z pokoju.

— A więc, panie markizie, o cóż to chodzi?
zainteresował mnie pan ogromnie.

— Chodzi tu o to, aby pani wpłynęła na ojca
i brata, aby zechcieli, wraz ze mną i panem Stefa-
nem — mówiąc to ujął stojącego opodal Stefana

pieszczotliwie i serdecznie za rękę — no i naturalnie wraz z panią; aby zechcieli się udać jutro wszyscy moimi końmi do mnie, aby spędzić dni parę w miłym towarzystwie.

— Ależ, panie markizie — rozpoczęła Hania.

— Pojutrze jest ostatni dzień lata. Zwykłem dzień ten bardzo hucznie obchodzić festynem; w tym roku jednak z powodu niezupełnego zdrowia mej żony, muszę sobie tej przyjemności odmówić. Sądzę jednak, że nierównie przyjemniej spędzę czas w towarzystwie państwa.

— Panie markizie — powiedział poważnie ojciec Wasyli — jakież to towarzystwo dla pana, albo dla pana żony z nas: pop, popadjanka i młody seminarczuk. Niech pan zabiera pana Stefana, Krystyna i jedzie. A nas zostawcie w naszej chatynie.

Markiz zamilkł na chwilę i patrzył na ojca Wasylę przez szkła. Ten zmieszał się niepomiernie i chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Dopiero Hania wstała z krzesła, podeszła z tyłu do ojca, otoczyła mu szyję ramionami i, przytuliwszy złotą głowę do białej strzechy, powiedziała spokojnie.

— Ojczulku, pan markizby nas nie prosił, gdyby nie chciał. A zresztą ojciec nie wie, jakim jest pan markiz, może dla pana markiza nie istnieją takie przesady, o których ty powiadasz.

— A więc pojedziemy, panno Haniu? — spytał nowym, radosnym, pewnym siebie głosem Stefan,

a markiz przeniósł na niego swe szkła, tym razem z przemiłym uśmiechem.

— Ależ pojedziemy, panie Stefanie — i gestem już zupełnie salonowym i swojskim — wyciągnęła ku niemu rękę.

IX.

Kareta jechała Hania, ojciec Wasyli, Wissarjon i Krystyn, markiz ze Stefanem powozem i Lachowieckimi arabami: to też w połowie drogi wyszli wszyscy panowie ze swoich wehikułów, aby, gdy konie dla wytchnienia zwolna iść miały, porozmawiać i przejść się trochę. Jedynie Hania w towarzystwie Krystyna pozostała w karecie. Droga właśnie szła wzgórzem, tak, że na lewo ostawały się rzadkie dębowe porośla, gdzieniegdzie starym dębem uwieńczone, a na prawo grunt zaorany; droga była twardo ubita i od rzadkiego użytku trawą gdzieniegdzie porośla. Powóz naprzód pojechał, kareta szła przed idącymi tak, iż raz wraz ukazywała się im jej sylweta na tle bladzielonego po jesiennemu nieba. Markiz szedł z ojcem Wasylim, tuż za nimi Wissarjon i Stefan.

— O czymże mówić będziemy — powiedział po chwili milczenia markiz, odwracając się z uśmiechem do tylnej pary — o jesieni, o muzyce, czy o miłości?

— Jabyłam pragnęła o miłości — powiedział Arjon.

— Może o jesiennym muzyce miłości, lub o muzyce jesiennym miłości — prawda? temat dobrany do otoczenia.

— Chciałbym wiedzieć, coby mój syn powiedział o miłości — westchnął ojciec Wasyli. — Wszak to może rzecz najważniejsza tu na ziemi.

— Ojciec Wasyli, jest naprawdę bardzo kochanym człowiekiem. Co za tolerancja. Więc ojciec uznaje miłość?

— Panie markizie, ze starego człowieka grzech szydzić.

— Nie boję się grzechu — nietaktownie ciągnął merkiz — ale mi chodzi o pogodzenie chrystjanizmu ojca Wasyla z poglądem na miłość. Jakże to może być, no nie?

Wissarjon zaś niezadowolony, że traci główną rolę w tej rozmowie dodał:

— Ojciec ma bardzo szczytne poglądy na miłość.

— A pan? — spytał go markiz.

— O ja też, chce pan, to panu zaśpiewam cały hymn na cześć miłości.

— Ale której, — spytał markiz — tej miłości, poświęconej rozkoszy i kwiatom, ciężkiej i miodnej jak letnie powietrze, czy tej uświęconej sakramentem, z dziatkami, kuchnią, jabłkami nie świeżemi, a upieczonemi przywiązaną ręką. No której, panie Arjonie?

— Święta jest miłość w rodzinie — poważnie powiedział ojciec Wasyli — Bóg i Duch święty błogosławią jej z wysokości. Święta jest siła, którą wzrastają państwa i narody. „Błogosławieństwo jest nad tym, który ukochał niewiastę, aby ją pojąć“. Święta niech będzie pamięć matek wszel-

kich, które przez miłość ku mężowi poczęły w imię pańskie.

— Co za herezja, ojcze Wasyli, jakże to pożądlivość jaką żona czuje ku mężowi Bóg błogosławi? A jeżeli pożądlivość zrodzi się poza sakramentem?

— Grzech, grzech, panie markizie.

— Nie, naprawdę, biorąc obiektywnie — mówił Wissarjon — sędzę, że niemasz większej rzeczy nad miłość. Z niej się rozpoczyna wszelaka siła, ona jest cementem łączącym rodziny, domy, państwa. Nic jej przeciwstawić nie możemy.

— A miłowanie ojczyzny? — wstawił Stefan od niechcienia.

— No tak, to jedynie — zgodził się Wissarjon.

— Panie Wissarjone — z uśmieżkiem powiedział markiz — czy pan zupełnie i zawsze wierzy w szczerowość uczuć patryjotycznych? Czy pan sędzi, iż rzeczy zawarte w tak zwanych czynach miłowości ojczyzny jedynie tylko ten motyw w sobie zawierają. A wobec powszechnej i uznanej nieszczerowości ludzkiej, panie Arjone, nie przychodziło panu do głowy, że i miłowość ojczyzny może być zupełnie czemś innym po rozkawałkowaniu i rozpatrzeniu jej czystych motywów. Naprzykład czemś w rodzaju pozy, egoizmu aktorskiego.

— Egoizmu aktorskiego?

— Ach, tak. Ale może mówię zbyt wygórowanie, może pan mnie nie rozumie, panie Arjone.

Chciałem przez to powiedzieć, że może żąda sławy, rozgłosu, otoczenia swojego imienia blaskiem... tak coś w tym rodzaju. Co do mnie, to ani na chwilę nie wierzę w patriotyzm: to albo jest uczuciem stadnem, albo czemś fałszywem: płaszczem, który narzuca jeden, bo mu z tem do twarzy, a inni narzucają, bo tariten tak uczynił.

— Tak, ale mówiliśmy o miłości.

— Ach właśnie — ciągnął markiz de Ribeaupierre — właśnie dlatego, że w miłość wierzę mniej jeszcze, niż w inne głębokie uczucia. Czy nie czujesz na dnie uczucia—no, kochałeś może kogo już kiedy. młodzieńcze, czy nie czujesz, czegoś jakby zadowolenia, gdy to uczucie mija?

— Może, trochę.

— I czy nie zdaje ci się wtedy, że udawałeś sam przed sobą.

— Nigdy nie udaję uczuć.

— Nawet i w tej chwili? — uśmiechnął się markiz.

Dech Arjonowi zapało ze zdziwienia. — W tej chwili? może trochę. A jeżeli w tej chwili to i...

Konsekwencje przerwał markiz, nawpół odwracając się do niego:

— Panie Arjonie, sądzę, że po paru takich rozmowach ze mną, dowiesz się ciekawych rzeczy, jedynie ciekawych rzeczy, bo rzeczy o samym sobie. Przejrzysz się w lustrze mojej wymowy i djalektyki, jał. w swojej własnej duszy.

— Naprawdę, markizie, dziwno mi słuchać waszej mowy — mówił ojciec Wasyli.

Markiz się roześmiał, a złe djabliki biegały w jego oczach.

— Ależ ja przecie żartowałem. Naturalnie, że żartowałem, a pan Arjon dał mi się natyle nakłonić, iż uznał słuszność mego dowodzenia. Śmiałbym się, gdyby przestał wierzyć w miłość, kiedy ja, profesor, pozostałbym jej wierny. To znaczy, że lądowiec nauczył żeglarza dobrze pływać i dał mu wskazówki, jak dopłynąć do szóstej części świata, w której sam nigdy nie będzie. Naprawdę to byłoby zabawne.

— Na szczęście — ciągnął po chwili — pewien jestem, że rozmowy na ukraińskich traktach pomiędzy jedną wsią a drugą nie dają tak ważnych rezultatów. Nieprawdaż, milczący panie Stefanie?

— Naprawdę — odparł zmieszany Stefan — patrzyłem w tej chwili na smugę ściernia, wychylającą się z ponad zaoranej ziemi.

— I cóż pan o niej myślał?

— Że jest zupełnie złota — odparł Stefan.

Markiz uśmiechnął się i skinął lekko swojemi szklami na karecę, aby się zatrzymała.

Gdyby rozmawiający o miłości byli przybliżyli się do niej przedtem, ujrzeliby w tylnym oknie dwie głowy: złotą i ciemniejszą, krótko strzyżoną, przytulone do siebie cicho a mocno.

X.

W ogromnej sali spotkała ich markiza. Dziwnie drobna i niska. Ginęła całkiem w olbrzymiej ilości koronek srebrzystych i bładoniebieskich. Biała rączka, drobna i o cudnych paznokciach, otoczona była promienistym koronkowym mankietem. Oczy duże, chłodno-niebieskie, spoczęły na gościach bez życzliwości, ale i bez urazy. Usunęła się wkrótce do siebie, tłómacząc się chorobą, a markiz sam oprowadzał wszystkich po salach i salonach pałacu. Na obiad zgromadzili się zupełnie pod wieczór w czerwonej jadalni z czarnemi boazerjami. Uroczysty obrządek arystokratycznego obiadu przeszedł prawie w milczeniu.

— Nie dziwcie się, państwo, mojej powadze — powiedział markiz pod koniec — ale do jutrzejszego święta zwykłem się przygotowywać w wielkiem skupieniu. Zdaje się, że pogoda będzie nam służyć w jutrzejszym obrządku. Tymczasem sądzę, że najlepiej zrobimy, gdy się rozejdziemy do swoich pokojów.

To mówiąc, wziął świecznik z rąk lokaja i poszedł sam naprzód, długim korytarzem, znacząc drogę gościom. U pewnych drzwi stawał i umieszczał, więc naprzód ojca Wasylego, obok Hanię, potem Arjona z Krystynem. U ostatnich drzwi stanął i, wpuszczając przed sobą Stefana, powiedział:

— Mam ochotę zatrzymać się w tym pokoju na chwilę. Czy pan pozwoli, panie Stefanie?

— Jestem prawdziwie uszczęśliwiony — odparł Stefan — naprawdę, nie wiedziałbym co zrobić z resztą wieczoru.

— Doskonale się składa — powiedział markiz, stawiając świecznik na stole na środku pokoju, podczas gdy Stefan zagłębił się w łono otomany. — Wieczór ten będzie należał do nas, panie Stefanie. A mieć w ręku jeden wieczór, to jest już bardzo dużo.

— O tak, panie markizie, naprawdę.

Markiz usiadł na chwilę w fotelu, założył nogę na nogę, pokiwał nią trochę, a potem spytał:

— Dlaczego pan milczał, gdyśmy mówili o miłości?

— Czy pan uważa, panie markizie, tamtą rozmowę za tak ważną, że chce pan do niej powrócić?

Markiz wstał, przeszedł się. — No tak, oczywiście, że tak, za bardzo ważną; niesłychanie ważną i dlatego chciałem z panem pomówić. Jestem zaciekawiony, co pan myśli o miłości.

— Właśnie i ja sam zadaję sobie to pytanie, markizie; więc nie wiem, czy będę mógł panu odpowiedzieć na nie jakkolwiek. Wy bo Francuzi, macie tę straszną konkretność myślenia; u pana jest albo tak, albo nie; albo wiara, albo niewiara. Nic pośredniego.

— O tak, nic pośredniego — żywo zawołał mar-

kiz—nawet odbiło się to na naszej gramatyce, gdzie są tylko dwa rodzaje, albo mężczyzna, albo kobieta.

— Aha, właśnie—ciągnął Stefan—albo mężczyzna, albo kobieta. Ale ja, ja jestem słowianinem, panie markizie, i dla mnie istnieje tyle odcieni przesubtelnych między tak i nie, między tezą i antytezą...

— ...Że absolutnie jest pan niezdolny do syntezy. Być może, że tak jest lepiej; chociaż wątpię...

Tu zgasił świecę. Noc zajrzała do pokoju; w wielkich dwóch płachtach okien stanął szafir jesiennego nieba, usiany niezwykle wielkimi gwiazdami; puszystymi gwiazdami. Desenie najbliższego drzewa lekko kratkowały światło; markiz podszedł cicho, powoli roztworzył wielkie skrzydło szyb; zapachniało wilgocią, chłodem; dojrzałym liściem i przejrzałym owocem.

— Może pan wątpić, panie markizie; wątplenie daje tak wiele radości, czy może nawet szczęścia. Lepszem jest od wiary i niewiary; unosi nas na skrzydłach w ciepłym powietrzu, między gwiazdami, opowiada nam bajki o prawdzie i o kłamstwie.

— Dziwny z pana człowiek. Powiem panu po prostu, że chodzi tu o Hanię — odwrócił się markiz od okna.

— O Hanię?

— Tak, o Hanię. Chodzi mi o nią, gdyż czuję, że przyszła ona do mnie z oddali jak fala; fala bardzo daleka, a zrodzona na tym samym brzegu, co ja;

dalekie echo dawnych kosmicznych wspomnień. Czy pan mnie rozumie, panie Stefanie?

— Rozumiem, ale nie poznaję.

— Bo widzi pan, to jest czar nocy jesienniej. Zmienia on mnie do gruntu i widzi pan już nie markiza, a mistycznego maga.

Stefanowi zdawało się, iż cień markiza na tle okna wydłużył się, wyolbrzymiał i gest, z jakim wypowiedział ostatnie słowa, wydawał się jakimś mistycznym błogosławieństwem.

— Zrodzony jestem—mówił markiz—na dalekich brzegach piasku, gdzie lęgną się gwiazdy; przychodzę tu, aby poznać, czem jestem. Przychodzę, aby ogarnąć świat i siebie, a Ten, który mię posłał, wysyła za mną liczne fale, aby mnie dognały i przyniosły mi wiew od tamtych stron: falą jest taką Hania, która przychodzi królewsko, aby mi powiedzieć wielkie i tajemne słowo, mające mnie pouczyć, czem jest miłość. Stefanku miły, oto wahasz się w subtelnych odcieniach. W zanadrzu masz list z Florencji i listek, który ci dała Hania. Myślisz, że się unosisz subtelnie między miłością, a jej brakiem, między kochaniem, a miłością i malujesz pastele, bardzo piękne, wiosenne, subtelne pastele. Olala, panie Stefanie, olala!

— Ależ, markizie—zdziwił się Stefan—dlaczego się pan z tego śmieje. Cóż jest w tem złego, że jestem subtelny?

— Subtelny, to subtelny, panie Stefanie; ale nie

widzisz pan rzeczy najistotniejszych—tego co jest pod miłością i pod życiem, a co jest święte. Czy nie czujesz naprzykład, czy w jednej mojej rozmowie z Hanią nie odczułeś, że jesteśmy związani pod życiem i pod miłością, korzeniem przegłębokim i że nie nazwiemy tego nigdy miłością, aby tego nie skalać. Bo miłości niema, panie Stefanie, ani pana subtelności nie są miłością — a jest tylko wielkie, potężne, olbrzymie kłamstwo ludzkie. Czy wierzysz pan w kłamstwo, panie Stefanie?

— Ach, czy ja wiem! Może tak, może nie.

— Ach, prawda. Pan jest słowianinem i unosi się na skrzydłach wątpień—a ja wierzę w kłamstwo i wiem, że wszystko jest kłamstwem; a jedyną prawdą i jedyną rzeczą istotną i istotnie coś wartą, są te prądy odwieczne, co pod powierzchnią kłamstwa ludzkiego płyną i wiążą niewidzialne światy i ludzi, gwiazdy i kobiety, palmy i jabłonie, owoce i uśmiechy. Hanię i mnie, i pana, i Krystyna w jeden węzeł nierozzerwalny istnienia najgłębszego, które szkoda nazywać Życiem lub Miłością.

— Czar nocy jesiennej!—uśmiechnął się Stefan.

— Nie, nie—zaciśnął zęby markiz—jeszcze nie jesiennej, jeszcze letniej. Jutro bowiem jest ostatni dzień lata.

— A więc nocy nachylonej ku jesieni.

— Jak jabłko dojrzałe, które czeka na wiatru całus, aby opaść na trawę.

XI.

ej samej nocy Hania rozmawiała z ojcem.

Pop Wasyli siedział w fotelu, bezradnie rozłożywszy ręce i patrzył na córkę, która chodziła po pokoju, lub przysiadła na framudze okna i patrzyła w ciemności.

— Cóż tam robisz?

— Gwiazdy liczę, ojciec—odpowiedziała poważnie. Potem odwróciła się i spojrzała nań z uwagą.— No, co tam chcesz powiedzieć mi, tatuś? Bo coś w sobie czujesz niedobrego, jakieś wyrzuty, jakieś uśmiechy. No co? Niezadowolony baćko ze mnie? Że córka śmiała, że zęby szczerzy i do Stefana, i do Krystyna, i do markiza; że się pnie na pałace popadanka, co? Prawda to? Prawda?

— Ano niby prawda. Ale skąd ty wiesz?

— Wiem baćku, wiem—tu uśmiech jej stał się pół smutny, pół tajemniczy—wiem, o czym myślisz. Ano, bo i prawda—chata mi chłopska znaczona, a nie hrabskie pokoje. Miód sycić i jabłka suszyć, a nie brzoskwinie całować i pieścić ustami srebro stołów pańskich.

— Tak, Hanuś, tak. A ty jak ćma lecisz na to wszystko. I boję się tak; strach serce ojcowskie bierze, Haniu. Tyś przecie moja córka jedyna. Moja córka, Hanuś!

— Tak, baćku i wasza córka. Ale nietylko wasza córka, ja boża córka, baćku. I boża córka i nie-

bia córka, i morska córka — wszystko mnie urodziło tatku: zdaleka ja przyplływam do ciebie; u ciebie się urodziłam, ale ja nietylko twoja córka. Ja jestem fala, co przyplływa zdaleka i mam ochłodzić wszystkich, kto się mnie dotknie. Czy ty widzisz, jaka ja spokojna? Czy ty widzisz, jak ja niczego się nie boję? Czy ty nie zadziwił się nigdy, jak ja ludziom w oczy spoglądam? Jak ja się śmieję, jak ja się uśmiecham?

— Haniuś, dziecko moje, co ty mówisz? Naprawdę, aż dziwno, aż straszno, bo i prawda to wszystko, co ty mówisz, a straszno.

— Bo ty, baćku, na prawdę nie chcesz patrzeć. Powiedz mi, czy ci nigdy do głowy nie przychodziło, że ja wiem, co ja robię, że zupełnie dobrze wiem; że nie lecę jak ślepa ćma na łaskawość Stefana i na całusy Krystyna, że doskonale widzę uśmiechy furmanów i lokai, ale widzę, dokąd idę. Nie wierzyłeś mi, ojczu, i to właśnie najgorsze. Nie widzisz pozamną tych, którzy mnie wysłali, abym przyszła jak fala i rozprysnąwszy się o brzeg ochłodziła was i odeszła na łono dalekich wód i wybrzeży.

— Mówisz niejasno, Haniu. Stare moje serce słucha cię ze strachem i nabożeństwem.

— Bo Bóg przezemnie mówi, baćku. Jestem z rodu kapłanów i jestem kapłanką wszystkich rzeczy, które są święte; i twoją, ojczu, bo ty jesteś tak święty, prosty staruszek. Tak bardzo wierzysz,

modlisz się; lubisz wszystko, czegokolwiek się dotkniesz; drewniane naczynia i złote morele w twem ręku stają się poświęcane; Stefana lubisz i Hanię, i wszystkich—prawda? — mówiła to już obok niego, tuląc się i obejmując go. Ty jesteś właśnie święty staruszek i nie boisz się nikogo: wszędzie widzisz swego dobrego Boga. I nie zdjął cię strach ani na jasnych pokojach domu pana Stefana, dziedzica ziemicy naszej, ani wtedy, kiedy w cieniu wieczora — prawda, jak wtedy było niebiesko? — przyjechał markiz. A Stefan się bał wtedy; a ty wiedziałeś, iż ten co przybywa, przybywa w imię boskie, a ja też wiedziałam to, i wiele więcej, wiele więcej wiedziałam — i myśmy są jedyni, którzy się nie boją. Prawda, tатku, prawda?

— A potem Stefan lękał się listu z Florencji, choć tam nie mogło być nic złego i nie było. Bo mi go dał potem do przeczytania, a takich rzeczy nie powinno się taić. Ale było tam jeszcze coś innego, czego i ja nie zrozumiałam. Ale nawet kapłan nie wszystko pojmuje. Prawda ojcie—Wasylu? ojcie—królu? Czy nie przychodzi ci na myśl niekiedy, ojcie, że my jesteśmy z królewskiego rodu? Z rodu Dawidowego, z rodu Melchizedekowego? Z rodu świętych pańskich? Ja to wiem. Dusza moja urodziła się z króla i z fali. A potem z zamku i obłoku, ze skały i potoku. I przyszła szukać królów i obłoków, zamków i srebra. Widzisz więc, że znajduję to wszystko, a mało mi jest tego. Wiesz, że

całuję Krystyna i całowałam Stefana; wiesz, że nie-
toperza w mrowisko kładłam, wiesz, że dołam czarne
krowy o północy i chodziłam do lasu pukać w je-
sionowe drzewa krzyżykiem w Ławrze święconym.
Ludzie we wsi mówią, że jestem czarownica; a Ste-
fan myślał, że jestem poganką, gdy stanęłam
w drzwiach z miodem i z jabłkami i z chlebem, i po-
wiedział mi: „Bądź pozdrowiony, Djonizy, w imię
Pańskie“. A to jest wszystko tylko moja wędrówka
i moje powracanie. I spotkałam markiza i pójde
znów dalej, ale podałam mu dłoń moją, aby uścisnął
i wziął z niej wszystko, z czem mnie posłano, abym
mu oddała, abym go ochłodziła w drodze jego, która
tak jest kołowa jak moja, abym zawiązała węzeł nad
nim wieczny, abym skonała rozplątując węzły wła-
sne i jego, i Stefana...

Wyprostowana sztywnie stała w poblasku świec
i czarnej nocy, a oczy jej zaszyły bielmem epilepsji.
Ojciec Wasyli przeraził się prawdziwie.

XII.

Wissarjon i Krystyn po nocy, która napełniona
była przyjacielskimi zwierzeniami, zbudzili się jednak
wcześnie, gdyż chłód porankowy dał im znać o so-
bie. Leżeli tak, jak ich sen wczoraj, podczas opo-
wiadań Wissarjona o politycznych pracach stowa-
rzyszeń południowo-ruskich zastał, na sąsiednich
łóżkach i natychmiast oczy ich się spotkały. Potem

popatrzyli na drzewa parku, tonące w białej pianie jak morskie porośle, wydostające się skądś z więzów jakich czy omamień ruchem żałosnym.

— Dziwne to wszystko, co się z nami dzieje— powiedział Krystyn z westchnieniem. — Od chwili przyjazdu czuję, jak coś mnie ciągnie w dal.

— Pójdziemy—powiedział Wissarjon—„lud nasz ciemny, ogłupiony przez panów, popów i żydów...”

— To nie to, Wissarjonie, nie to. Ja wiem, że ty masz rację w tem wszystkim i że ty pójdziesz i będziesz pracował i nauczał, ale mnie ów głos nie tam woła. Stefan i ja, i Hania, i markiz — nie pójdziemy nauczać, ani na wojny krzyżowe, na które zawsze dawniej obiecywałem iść ciotce Felicji. Mimo to, wiesz, że ja tylko tak po wierzchu wydaję się zdrowy, mocny; a Stefan nie lubi, że ja konie kąpię lub wogóle coś podobnego, szalonego robię; ale ja we środku nie jestem taki; czasem mi wieczorem w parku, kiedy tak sobie chodzę, wiesz, tam, gdzie leszczyny, albo gdy zbieram dojrzałe śliwki—dziwnie miękko robi się na sercu. Nie śmieję się, Wissarjonie. Wiesz przecie, że zbieranie owoców, to nie śmiech, a prastary pogański obrządek.

— Ach, ty poganinie—zaśmiał się Wissarjon— a kto to czytywał psalmy z ciotką Felicją i co niedziela do kościoła jeździł, co?

— To wszystko głupstwo. Zresztą nie będę ci mówił, jeżeli masz się śmiać. Ja się nie śmieję z tych twoich bzdur, z tych dekabrystów...

— Słuchaj, Krystyn, jak będziesz tak o nich mówił...

— Cha, cha, cha, — Krystyn zakrztusił się od śmiechu.—Widzisz, Arjonie, czem ci można dopiec.—Skoczył na łóżko Arjona, przycisnął go mocno obie-
ma rękoma i patrzył mu prosto w oczy:—Słyszysz, ja pojedę z twoją siostrą do Grecji, a może do Rzymu. Ale właśnie z nią ucieknę na koniec świata, gdzie mię nikt nie zgoni, ani Stefan, ani markiz; a jeżeli dogonią, to będzie już po wszystkim. Zabiję siebie, ich i ją, a przedtem będę tańczył dzikie pląsy, rozumiesz, dzikie pląsy.—Ty wiesz, że u nas dziewczęta na Iwana Kupałę tańczyły nago na polance za lewądy o północy, i Hania była między niemi. A ja chciałem zobaczyć i zakradłem się tak blisko, blisko, że strach. I podła gałązka trzasnęła mi pod nogami; złapały mnie, rozebrały do naga, ale tak, że koszulę w strzępy podarły i kazały z sobą tańczyć i śpiewać jakieś takie dziwne pieśni; mówiły, że to „wiośnianki“ i kręciły się w kółko wraz ze mną, aż mi świeczki w oczach stawały, a potem to mię tak zbiły, że ledwie dowlokłem się do domu. Wołały tak głośno na siebie w nocy i nie bały się, bo to była noc Iwana Kupały. Od tego dnia pokochałem Hanię. Ty wiesz, że ja ją pokochałem i nikt mi jej nie odbierze, ani markiz, ani Stefan, ani ty, Arjonie. I dlatego nie pójdę za tobą. Pójdę z Hanią w lesie tańczyć. Pojedziemy z nią. Może już prędko uciekniemy...

Opowiadając zszedł z łóżka i chodził po pokoju, potem przybliżył się do Arjona i szeptem mu powiedział:

— Wiesz, wiesz? Ja ci powiem... my w tych dniach uciekniemy...

I nawet nie zważał na to, że Arjon śmiał się jak szalony z tej całej ich ucieczki.

— A, bo ty myślisz, że to przyjemnie siedzieć w tych Lachowcach w jesieni i w zimie. Nauczyciel nudzi łaciną i greką, albo każe matematyczne różne androny przepisywać. A mnie się chce na świat, na długi, szeroki świat... nawet bez Hani. Stefan opowiadał kiedyś, jak pędził konie wzdłuż wybrzeży Azji Mniejszej. Opowiadał, jak spędzał noce pod gołym niebem w Anatolji, albo jak za Odesą jechali przez stepy nieorane i niekoszone od lat, wśród pachnących traw. Czy tybys chciał tak pojechać przez świat, Arjonie, przez lasy i stepy? Poproszę Stefana, to mi kiedy pozwoli czwórkę koni i powóz, i jechać... mijać wsie i patrzeć, że są inne, a takie same, jak nasza. Mijać ludzi i myśleć, że są tacy sami, jak my.

Tak samo lubię czytać historję; nauczyciel nazywa to podróżą w czasie, a mnie tak dziwnie, że ludzie zawsze byli tacy do nas podobni; tak samo dziewczęta tańczyły w Grecji, jak Hania w dniu Kupały i tak samo modlono się do bogów i bogiń, jak my do Boga...

Podszedł do okna: w ciszy przedjesiennego po-

ranka liście krzewów i drzew mokre były od rosy; mgła i chłód ulatniały się; zza rozwierających się oparów wyglądało niebo, zwiastując przyszłą pogodę. Wzdłuż alei, przechodzącej pod oknem, szła markiza, obcinając pęki zeschłych róż nożyczkami, które miała w rękę. Suknię miała wczorajszą. Zdawała się, jak mgła, chcieć ufrunąć na szlakach szaroniebieskich koronek. A gdy przecudnemi rękami w promieniach koronkowych mankietów przebierała zeschłe badyle, na twarzy jej osiadł wyraz skupiony i tak dziwny, że Krystyn długo nie mógł go zapomnieć. Nie powiedział też Arjonowi, że widział markizę o tak wczesnej godzinie, w ogrodzie, z przekwitłemi różami.

XIII.

Skoro się zebrało na południe, powiódł markiz wszystkich cienistemi alejami, kędy plamy słońca świeciły, jak miodne złoto, do świątyni Cerery, która się znajdowała za stawkiem na końcu parku. Przez przykurzone i rzadsze już nieco liście drzew, widniało niebo sine, czyste i naprzeciw niego tafla stawu jak szkło, zupełnie kryształowa, o tej specjalnej sztywności i pięknie, jakie ma woda w jesieni. Deseń drzew tonował swoje kolory w dziwnej gamie od ciemnej zieleni do rudych zwojów, w które się gdzieniegdzie poskręcały kasztany; na stawku pływała malutka łódeczka, naładowana złotem dojrzałych, czerniejących już snopów; a nad niemi sterczały gałęzie jarzębin

i kalin w dwóch cieniach koralu, i zwieszały się aż ku wodzie, za łódką smugi kryształów zostawiając—mając nadwyraz dokładne odbicia nielicznych białych i drobnoszarych obłoków. Szli parami, ścieżką nokoło stawu, przez wypukły mostek nad porośniętą łopuchami strugą, potem aleją berberysów, które ociekały niby krwią kroplistą z ran cudownie w zieleni zamienionych.

Świątynia Cerery, okrągła o czterech kolumnach fasady, stara już i omszona, stała schodząc schodami aż ku zielonawej tafli stawu; gdy weszli do wnętrza ogarnął ich przyjemny chłód i brak światła; przez wąskie, wysokie drobnokratowane okno wlatywał blask nikły, rozpraszający się natychmiast między popoczeriałymi freskami, przedstawiającymi historję Cerery i Prozerpiny, i między połyskiem wielkich srebrnych trąb olbrzymich, przepięknych organów, na których obecnie tylko nikła markiza grywała. Ławy wpółokrągłe, czarne jak i organy, otaczały półkołem mrok świątyni, w głębi zaś na tle olbrzymiej, jasnej kotary stał na podwyższeniu paru schodów niby ołtarz, niby piedestał, z którego zdjęto posąg bogini, a gdzie wyryte widniały słowa:

Ceres mater omnium.

Obrządek się rozpoczął. Naprzód markiza grała na organach, długo przelewając wodne i szklane dźwięki dziwnie brzmiałych trąb, niby fletnie, wzy-

wające na gody, czy na święto wszystko, co żyje w lesie, w parku, w stawie; potem czworo pacholał wstąpiło na schody przed piedestał i śpiewało po łacinie jakąś pieśń obrzędową, tęskliwą, smutną, wzywającą, której nie rozumieli zebrani, ale czuli w niej rozpacz pijanego czekania, żegnania, po którym ma nastąpić nowe widzenie się, bardziej dojrzałe, bardziej rozkoszne; powoli wraz z ostatnimi akordami czterogłosowego śpiewu zasunęły się rolety okien i ciemno było zupełnie, tylko dwa ołtarze po bokach płonęły zniczem czerwonym. Zabrzmiały dalekie flety i bębny, i rozsunęła się kotara w głębi. W ciemnej niszy z rękami wysoko wzniesionymi, dźwigając na nich tacę złoconą winogron, jabłek i granatów, w bieli tuniki, w złocie włosów—stała Hania.

Zwolna, miarowym rytmem bębnow pobudzana, zeszła parę stopni i ustawiła ciężką misę na postumencie, a potem, zszedłszy jeszcze niżej, twarzą ku widzom zwrócona, poważna i skupiona, prawie gubiąca kontury swe w mroku, ręce w tył wyciągnęła, szukając owoców na tacy, aby je oddać zebrany czcicielom. W ruchu tym zadumana, przydługą tunikę nastąpiła i kosztowna spinka, dzierżąca ją na ramieniu, rozpięła się i kolcem złotym naznaczyła ramię i pierś białą, która powoli z tuniki opadającej wypłynęła. Krople krwi poczęły cichutko i zwolna śczyć się z rozdarcia po bieli dziewiczego ciała.

Ale Hania nie zważała; pełnemi dłońmi wyciągnęła winogrona ku tym pochylonym; wyciągnęła gestem matki, podającej piersi ukochanemu dziećciu, mówiąc głosem słodkim:

— „Bądź pozdrowiony, Djonizyl!”

Flety i bębny odmierzały dziwny, zawrotny, a coraz szybszy rytm.

XIV.

Gdy po skończonym obrzędku wyszli przed świątynię, na schody, wiodące ku wodzie stawu, mijał właśnie przelotny deszcz; gęstą siatką pokrył zielen zakurzonych drzew; dalsze okrył siną mgiełką, a wodę w stawie zamącił częstem uderzeniem perlistem. Ale już poza jego warkoczami, równemi, rzadkiemi, spokojnemi siniało pogodne niebo i przez szarość deszczu przeświecał i wzbierał czysty, wielki, biały obłok, wydęty jak łono karmicielki.

Ojciec Wasyli zatrzymał się w progu; markiz i Stefan stali poniżej, trzymając się za ręce. Ojciec Wasyli wyciąnął ręce na deszcz, ogrody i obłoki i powiedział spokojnie:

— „Dlatego będzie modlić się do Ciebie wszelki święty czasu pogody, czasu pogody jesiennej”.

DODATEK

LIST, KTÓRY OTRZYMAŁ STEFAN PRZEZ MARKIZA RIBEAUPIERRE

Kochany Stefaniel

Jakąż daleką drogę przebędzie ten list, aby cię pozdrowić i przywitać. A tak zda się niedawno wspólna była nasza droga, i ranki i świtania i zachody na jednej ścieżynie nas zastawały. A teraz ty, najdroższy, kędyś na Ukrainie w cieple i dostatku jesiennych doglądasz plonów, a ja modłę się tutaj do Boga Zbawiciela we Florencji. Postaram ci się przesłać rękopis jednego z moich utworów. Nie bądź zdziwiony imię swoje na pierwszej jego karcie ujrawszy. Tobie chciałem oddać poemat cierpienia i przypomnieć ci na nowo to wszystko, cośmy o cierpieniu i miłości chrześcijańskiej w wędrówkach swoich, w celi klasztornej i w ogródku kochanych mnichów siwobrodych mówili.

Chcę cię umocnić w wierzę, którą starałem się wszczepić w ciebie i którą zdobyłem w swojej podróży: wierzę w prawdę jedyną cierpienia. Chodzę tutaj ulicami Florencji jak błędny; raz wraz się natykam na oznaki pogaństwa naokół siebie. Niestety, pogaństwo znajduję i w sobie, uczucia dziwne, których wymazać z siebie nie mogę. Jedynie czuję, jak bardzo byłem pogański tam u was, na Litwie, i na Ukrainie i strach mnie bierze, abys się nie cofnął z drogi ofiary, skuszony miłością ziemi i rzeczy ziemskich. Najlepiej byłoby, abys zawitał w te strony,

pieczę nad ziemią swoją zostawiwszy Bogu i ludziom, a sam abyś razem ze mną i z braćmi moimi i twoimi w Chrystusie szedł. Bo wierz mi, mój drogi, Sybir, kajdany i mrozy są niczem i nic ojczyzny zbawieniu nie pomogą, jeśli we własnej duszy nie znajdziemy Sybiru i kaźni, aby ją we wnętrzu własnem umęczonem wyprowadzić na światłość, która jest jedyna i prawdziwa. W ofierze życia znajduje się radość i w zniszczeniu pokus szczęścia siłę, aby, zdobywając coraz to nowe obszary wewnętrzne, do nowych krain Ducha dochodzić. Tak dużo już tu we Florencji przebyłem, sam odrzucając plewy z ziarna mojej duszy pracą własną, a także palcem bożym powodowany. Znak zewnętrzny, ponoszenie konia, uważam za palec Opatrzności, który mą duszę od ostatniej cząstki pogaństwa jaskrawego oczyścił. Dużo jeszcze tam tego pozostało i nieraz może z pod pokładów, jak gruzy Pompei, wyjrzy, ale najważniejszym jest to, że czuję, dokąd i gdzie idę, i poco. Jedynie od pracy ducha naszego możemy rozpocząć i odrodzenie Ojczyzny naszej, nie tej Polski, pogańskiej i ziemskiej, a Ojczyzny wiecznej światłości, Ojczyzny Królestwa Bożego, które oby jaknajrychlej zstąpiło na świat ten.

Przeto wzywam ciebie, przyjacielu. Idź dalej drogą, na której pierwsze kroki postawiliśmy razem w klasztorze Azji Mniejszej. Bądź mi pociechą, podporą i uczniem ukochanym, jakim Jan, Syn Gromów, dla Chrystusa był. Przybądź do mnie, a wzajemnie

się umocnimy, (czuję to) w miłości wielkiej, która przepełniła mi serce i jest jasna i rozlewa się na cały świat. Wszak jestem w ojczyźnie świętego Franciszka i z nim razem modłę się za Ciebie, Stefanie, który jesteś w ziemi pogańskiej, ziemi cielesnej obfitości, ziemi ukraińskiej pełnej owoców i czarnoksięstwa.

DEMETER

KAROLWI SZYMANOWSKIEMU

I.

Markiza de Champd'arras zaproponowała wycieczkę do ogrodu Hesperyd. Coprawda, murzyn Ibrahim (ten, chrześniak Piotra Wielkiego) skrzywił się na to nieco, bo miał zadosyć swej grzanej ojczyzny, a i markiza de Chèvrefeuilles miała coś przeciwko temu. Nie można się też było zdecydować na smoki. Srebrne były za lekkie, a czerwonemi wolała nie jechać markiza de Chableu,—gdyż w czerwieni nie było jej do twarzy; miała błękitne włosy, jak oczy głuchego kota.

Zdecydowano więc, że markiz Kupidynek pójdzie do swej matki Venus poprosić o pożyczenie rydwanu, zaprzęzonego w gołębie, w którym całe towarzystwo mogłoby się wygodnie umieścić—obietano za to Wenerze, że noc przed wycieczką spędzą parami w złotych sypialniach markizy de Champd'arras. Ale Ganimed, co był wówczas u Venus w gościnie, zażądał, aby dwóch panów zbywających, również spędziło tę noc w jednej ze złotych sypialni. Towarzystwo przyjęło to z aplauzem i poręczyło ciągnąć losy: wypadła markiza de Champd'arras z Ibrahimem, markiza de Chèvrefeuilles

z markizem du Bailly, markiza de Chableu z markizem du Bâti, markiza Chachyphrogne z markizem de Pomme-de-St. Loup — a pan de Berry z markizem Kupidynek.

Markiz Kupidynek, zerkając ku markizie de Chachyphrogne, stanowczo przeciw temu zaprotestował, mówiąc, iż losowanie odbyło się nieregularnie i że on się wcale na wycieczkę nie zgadza. Poczęto mu tłómaczyć, iż wchodzi tu w grę obraza jego matki— ale on o niczem nie chciał słuchać.

Wobec tego zawiązała się wkoło całej sprawy intryga niezwykła: markiza Chèvrefeuilles użyła swego wpływu na Herę— a markiz de Pomme-de-St. Loup posłał do Ganimeda bilet wizytowy, gdzie była wyobrażona kobieta z kubkiem (jako żywo Hebe) i wspomniał mu w nim o przeszłości, o zazdrości Hery i fantastycznym zlocie z Olimpu na Padół kijowski. Nareszcie po czterogodzinnem telefonowaniu sprawa się skończyła. Schrypnięta markiza de Chèvrefeuilles nie mogła śpiewać bergerettek, chociaż to była obiecała całemu towarzystwu, a głównie Ibrahimowi, a przytem niemożliwie bolały ją nogi, bo rozmawiając z Herą przez telefon, ustawicznie czyniła dworskie dygi, jak to nakazywała owoczesna etykieta.

Ostatecznie Hera obiecała przysłać nazajutrz rano swoje dwa wozy, zaprzężone w pięćdziesiąt pawi— z tych złotych z rubinami i białą emalją, co jej ofiarowali Jazon i Medea; markiza przymawiała

się do liljowych, które wybornie pasowałyby do jej bursztynowych oczu, ale Hera udała, że przymówki nie rozumie: bała się ogromnie o cenną ametystową emalję piór. Co się tyczy Venus, to ta nie odstąpiła od swego planu—jedynie zgodziła się na to, by pan du Berry i markiz Kupidynek nocowali w dwóch osobnych złotych sypialniach
.
.

To też w dzień wycieczki towarzystwo wyświeżone i wesołe zebrało się na dole w krągłym salonie „złotych ust“ — gdzie oczekiwano na pawie. Dwie murzynki i dwie honolulki roznosiły fioletowe lody, róże maréchal le Niel i czerwone winogrona.

Markiza de Chachyphrogne słodko się uśmiechała do swego towarzysza, na co marszczył się markiz Kupidynek—co zresztą nie należało do jego zwyczaju—i raz po raz poprawiał śmietankowy żabot, przebity złotą strzałą.

Zagrały w drzwiach kuranty menueta Muffata, co było znakiem, że rydwany gotowe, i udano się szklanemi schodami na taras, wysadzany bławatkami, gdzie już błyszcząc w słońcu pofruwały pawie.

Za chwilę w bladym seledynie nieba rozpoczął się lot w zorzę wschodzącego słońca; chmury, mijając rydwan, zostawiały na nim skrzyste desenie śniegowych kryształów — a różowe tło zorzy było

wyhaftowane w szlaki drobnych, jak baranki wełnistych obłoków.

Gdy lot się zniżył — ujrzeni białą od piany granicę ciemno-szmaragdowego morza i niebieskim lazurowym piaskiem pokrytej Sahary. Lekko falista równia czyniła pagórkami ciemniejsze cienie na martowym, jak sukno électrique, kolorze pustyni — a rzadkie, sterczące, ciemnoszafirowe liście fantastycznych roślin dla podróżnych nie były jeszcze widzialne.

Zwolna na horyzoncie, jak wielka skała, symetrycznie ociosana, powstało ogrodzenie hesperydzkiego ogrodu: niby wielka ciemna nawa, błyszcząca na lazurowym morzu piasku. Zbliżywszy się, ujrzeni wysokie, szkarpami podparte ogrodzenie z wielkich płyt zielonej porcelany. Wzdłuż gzymsu wisiały szeregiem jak frendzle złote dzwoneczki, które wygrywały melodie japońskie — a w pośrodku wysokości, wykuszem w ścianie zrobionym, niezbyt szerokim, szła procesja długa nagich młodzieńców, z przewiązanymi czerwona jedwabną chustką oczyma. Trzymając się jedną ręką ściany, szli oni zwolna robiąc trzy kroki naprzód, a dwa w tył; a doszedłszy do miejsca, gdzie się wykusz wobec bramy urywał — cofali się w ten sam sposób, robiąc trzy kroki w tył, a dwa naprzód.

Koła wozu otarły się o lazurowy piasek i pawie opadły przed bramą z zielonej miedzi, na któ-

rej widniała tablica z białego marmuru z temi słowami:

Tan Toràn Herakliondon
Aran Todan to paliondon.

Co w cudnie dźwięcznym hesperydzkim języku
znaczy:

Wstęp wzbroniony: oczekujemy zbójcy Herku-
'lesa.

II.

Markiza de Champd'arras—inicjatorka całej tej wyprawy była zrozpaczona: ona to prowadziła całą intrygę z Olimpem, a tymczasem wszystko przepadło.

Markiz Kupidynek był skwaszony do reszty i, kiedy całe towarzystwo lojalnie rozłożyło się pod murami z zielonej porcelany, czekając aż niewolnice przyniosą im sorbety i wonne przepiórki w prawdziwym śniegu, — odszedł nieco na bok, tworząc ładną plamę liljowym jedwabiem swej sukni, wzorowanej nieco na stroju koronacyjnym Napoleona—tylko o krótkim płaszczu.

Markiza de Chachyphrogne w melodyjnej morelowego koloru krynolinie chciała go pocieszyć i podbiegła do niego, wyciągnawszy ręce, on jednak pociągnął ją za szkarp i, ukrywszy się tam, złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

Wówczas na horyzoncie zjawiły się sylwety

czterech czarnych wielbłądów, które zbliżały się szybko, potrącając czerwonymi frendzlami czapraków, a na nich siedziało piętnastu hebrajczyków z pejsami, w długich szatach, z zakreconemi w loki brodami, z lotusami i czarami z manną w rękę.

Na najpierwszym, najczarniejszym i najmądrzejszym wielbłądzie jechał król Salomom w skromnej szarej szacie. A wielbłąd, zrównawszy się z markizem i markizą, ukląkł na przednie nogi, potem na tylne i król, lekko się ześliznąwszy, stanął obok szkarpu, za którym byli ukryci. Woń myrrhy i fiołków napełniła powietrze, a obręcze złote na nogach i rękach króla brzękały zcicha.

— Może przejdziemy się trochę—spytał łagodnie król, głęboko patrząc w oczy markizie.

Natychmiast otwarła się przed nimi spokojna polska droga, jak ta, co z Byszew do Skoszew prowadzi, piaseczysta, szara, z kępami drzew z boku—z kolonją niemca, gdzie czerwieniły się drzewa w niesłychanej obfitości wisien, z białodrzewami wiekowemi. Cienie od tych drzew kładły się podłużnie na słoneczną drogę, a oni poszli tak temi smugami, Salomon pośrodku, a markiz i markiza po bokach.

— Nie trzeba nigdy się dziwić—począł mówić Salomon łagodnie, śpiewnie, tonem Oskara Wilde'a. Zdziwienie jest oznaką dusz płytkich. Trzeba być odrazu, od kolebki zdziwionym i w boskiem zdziwieniu wobec życia trwać. Bo dziwnem jest wszyst-

ko, cokolwiek spotyka nas na drogach życia: czy to tu na tej polskiej, polnej, czyli na szosie Paris-Nice.

Markiz i markiza nie odpowiedzieli nic i szli tak chwil parę w milczeniu.

— Dziwicie się?—spytał król.

— Nie — odpowiedzieli szeptem.

Uderzyły dzwony w drewnianym kościółku na Anioł Pański — minęli plac tenisowy, gdzie grała młodzież w białych strojach i jedna panna z kruczemi włosami z purpurową różą nad skronią.

— Wielka jest siła milczenia—powiedział znowu król—albowiem tylko w milczeniu jest prawda, każde słowo jest kłamstwem, każde wejrzenie jest kłamstwem, a wzrok zapuszczony w krynicę duszy nie wyłowi nic nad to, co wyłowić chce.

Słuchali milcząc.

— Kryształ duszy drzemie na dnie przepaści, drzemiąc świeci, ale ciemności go ogarniają, a brzęk kropli perłowych daje mu muzykę sfer w milczeniu. Promieniem wystrzeli, makiem wiosennym w tę gozdzinę, której już nie będzie.

Słuchali milcząc.

— Albowiem większą jest tajemnica miłości, niżli tajemnica śmierci.

— To już Salome Wilde'a mówiła.

— Nie tylko Salome, ale i Salomon. A nie ma nic ładniejszego nad pozę tego frazesu wobec świata. Bo ładne są tylko słowa, a słowa są kłamstwem, i piękno jest kłamstwem. A w tym zamknięto naj-

więcej złego i najwięcej dobrego, co można w ośmiu słowach zmieścić: możemy tą tarczą bronić się i przeciw miłości i przeciw śmierci — bo ani miłość, ani śmierć nie istnieją, a są tylko słowa, z których buduje się życie nasze.

Znowu nie śmieli mu przerwać. I szli. Skrzybiał piasek pod ich stopami. Za drzewami połykiwał staw. Nagietki i nasturcje żółciały, płonęły przed białą przydrożną kapliczką, na której usiadł kościotrup z kosą.

— Dobrze czynicie, bracia moi — mówił dalej król Salomon, że słuchacie słów moich w skupieniu.

— A teraz pomilczmy trochę, aby przemówiła do nas prawda wiecznego życia, bo czyż nie wiecie, że idziemy do Emmaus?

Tu obłok srebrny nadpłynął i zakrył im z przed oczu króla Salomona, a oni przyklękli nieco.

A gdy już nie było nikogo — zawrócili w bok i znowu, przeszedłszy gaik Böcklina, byli na sinej Saharze obok ogrodu Hesperyd.

III.

Tymczasem horyzont nakrył się ciemnopurpurowymi chmurami, ciężkimi i przewalającymi swe cielska tuczono, a groźne. Wiatr gwizdał przewiewając srebrzyste wiry po pustyni, a orły nad murami twierdzy hesperydzkiej ponuro zaczęły krakać.

Markiza de Champd'arras w przerażeniu poczęła

zbierać rozrzucone serwisy z sewrskiej porcelany, a krynolina jej igrała z wiatrem w festony. Inne panie również wirowały niespokojnie i, zbite w grupę, tuliły się za zielony szkarp, przytrzymując szale, które wiatr jak żagle wydymał. Pierwsze poświsty cięły im twarz igłami szronu, a wkrótce purpurowe gwiazdki lodowej śnieżycy poczęły przysypywać zielony mur i lazurowy piasek Sahary.

Ponure ciemno-fioletowe chmurzyska rozwarły się nagle i rzygnęły całą ulewą czerwonego śniegu, aż zakotłowało, zawirowało wszystko w krwawym tumanie i nakryło płaszczem wszelaki widok.

Markiz du Bâti przeciął jednakże korale zawieruchy głosem jak iskrą, wołając: proszę za mną, proszę za mną. Nad morzem jest szaleć, kędy można przeczekać tę krwawicę.

Z zamkniętymi oczami, z rękami wyciągniętymi w czerwone mroki smug śniegowych, w lodowe wichry i zwały, rzucili się wszyscy za markizem, trzymając się jedni drugich — i szli brnąć w piachu i śniegu, potykając się i rozwiewając jedwab i gazę szat i robronów, powiewając wstęgami, uwiązanemi do wysokich trzcinyowych lasek.

Markiza de Chachyphrogne szła na końcu, trzymając się kurczowo sobolowej pelerynki markiza Kupidyna, oczy miała całkiem sklejone i obolałe, czuła jak chłód zawiewał wzdłuż upończoszonych na morelowo łydek i przejmował całe ciało oślizgłym objęciem.

W pewnej chwili za purpurowym tumanem śnieżycy poza sobą usłyszała pisk i przeciągłe wycie. Serce jej ścisnęło się z bólu — to Chinchinetta! ukochany, ciupy jej piesek domagał się praw do życia.

Wysłiznęła się jej z ręki mantyla markiza. Nie namyślając się dłużej, zwróciła w kierunku głosu. Brnąc po kostki w lodowatym piasku, poczęła wołać: „Chinchinetta, Chinchinetta!”

I wyobraziwszy sobie jej drogę, aksamitne, mahoniowego koloru futerko zasypane śniegiem, a małe ciało umarłe i nieruchome, — do śniegu i piasku, sklejącego jej oczy, domieszać zaczęła łyzy brylantowe. Wyciągając wciąż ręce przed siebie i imię pieska powtarzając, nawoływała — ale głos piskliwy pisknięcia psiego odsuwał się od niej coraz dalej w niejasnym kierunku i tonął pośród ciemnych smug, nakrywających oczy markizy niesłychanym płaszczem.

Przemarzła do kości i przestała się orjentować. Poczowała trwogę — i nie myśląc już o Chinchinecie — poczęła nawoływać swoich spółtowarzyszy, ale tylko poświst wiatru odpowiedział jej, podnosząc jej loki i wstęgi na głowie do australijskiego tańca.

Zrobiwszy parę kroków w ciemności, upadła i dłonie zaczepiła o jakiś krzak, który ostrzem gałęzi rozdrapał jej rękę od góry do dołu nowym bólem. Podźwignęła się i, uczyniwszy słabych parę kroków, uczuła pod stopą twardy kamień, wznoszący się ku górze. Poczęła więc iść tą drogą, ciągle

wysłuchując się w muzykę wichru i zamieci, która jej akompanjowała omnitonalem hymnem. Po paru chwilach znowu usłyszała wycie sobaczki, już nieco bliżej od siebie. Poczęła słabo wołać: „Chinchinetto!” i jeszcze po kilku krokach na twardej opoce, uczuła uderzenie aksamitnych łapek w kolana i raźny pisk psiska, które tarzało się przed nią w ekstazie.

Pochyliła się. Uczuła na zmarzniętej twarzy ciepło psiego oddechu i języka, rękami objęła aksamit małego ciała i ukląkłszy, przytuliła sobie do obnażonej szyi, powtarzając ciągle: Chinchinetto, Chinchinetto!

Poczem usunęła się w tył: poczuła, że twarda ściana opoki podpira jej całe ciało, plecy i głowę, więc przymknęła duchowe powieki nad wszelką myślą i zrobiło jej się błogo, spokojnie i śmiertelnie senno.

IV.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała przed sobą w słońcu leżącą przestrzeń bladoseledynowego, miejscami szarego morza. Leżała wsparta o skałę asfaltowego koloru, która się wznosiła niebotycznie wysoko, tworząc tum gotycki, którego wierzchołka dojrzeć nawet nie było można, ponad wąską wstęgą drogi, przytuloną do czarno-granatowej skały i znikającą gdzieś w górze, za występem opoki.

Białe mewy z krzykiem krążyły ponad cieniem urwiska, które ginęło w opalowych, nieuchwytnych mrokach obłoków.

Chinchinetta spała, wyciągnąwszy się na jej kolanach.

Nagle usłyszała dźwięk, jakby dwa srebrne talerze zawirowały, trąc o siebie dźwięczącymi brzegami: dźwięk ten, podobny do jęku, rozbrzmiewał żałośnie, jakby odzew mewom, a potem jak echo powtórzył się raz, drugi i trzeci.

A morze jakby w odpowiedzi na to—rytmicznie, trzy razy, z wielkimi pauzami klasnęło falą potężną o brzeg u stóp markizy.

Zza wyłomu skały, idąc czarnosiną drogą, ukazała się postać niewiasty w czarne greckie odziana szaty, przez które cudne ciało przeświecało; dwa pasma czarnych jak noc włosów miała spuszczone po ramionach na piersi, a oczy wielkie, jak oczy Wysockiej, wpatrywały się w jakąś dal nieziemską. Ręce miała wzniesione do góry ruchem przedziwnej harmonijnej piękności:

Nieco dalej za nią, szły cztery niewiasty w rząd, trzymając nad głową po dwa srebrne kręgi, i pocierając nimi po każdej strofie, wydawały ów dźwięk przeciągły, a jękliwy i bolesny, gromko zawodzący nad płaszczyzną bladozielonego morza.

A niewiasta owa, schodząc miarowo w dół, wołała:

— Koré, Koré...

— Córo najmiłsza, słońce oczu moich, gdzieże cię odnajdę? Ty, która maki płonące, a sen dające, w warkocze wplatasz gorejące.

— Ty, która przez trzy miesiące dawałaś matce ust pocałunki gorące. Gdzieże cię odnajdę?

Tu owe niewiasty zadzwoniły ze zgrzytem, potrójnie okręcając srebrne krążki, a morze w odpowiedzi znowu trzy razy rytmicznie klasnęło o brzeg.

— Koré... Koré... — wołała dalej niewiasta.

— Córo moja, Persefono, dźwiękliwa a radosna, kiedyż znowu wyrosną białe anemony, kędy ty łąkę przejdziesz, wiosną; zawodzeniem głośno zawołamy ku bogom i ludziom, maków wołając dla ciebie krasną jasną daninę, szczęścia dla ciebie szukając, ty córo ukochana, a obca, nieznana; dla chłopca przeznaczona ziemskiego, a bogowi ciemności odana, Persefono. Gdzieże cię odnajdę? —

Tu owe niewiasty zadzwoniły ze zgrzytem, potrójnie okręcając srebrne krążki, a morze w odpowiedzi klasnęło trzy razy rytmicznie, a groźnie o czarne stopy skał.

— O Koré, Koré...

— Córo moja dla Adonisa przeznaczona, dla Jachosa, dla Dionizosa, o córo święta, męczeństwem średniowiecznym uświęcona, spowita w lilje i maki mistyczne, wieczna a nieuchwytna, co się od oczu moich zakrywasz; pojmana, związana, w więzieniu czarnym trzymana, żono pana swego, na kolana upadła, zbłągana o radość jasności, miłości i kwie-

cistości wiosennej. O! łzy, na obliczu mej córki, są jak konchy, co w zawarciu swem perły rodzą; uśmiechy jej są jak płatki ust, które nie całowały nigdy a śmiertelnego w śmierci były umoczone dla żywota wiecznego. Gdzieże ciebie odnajdę?..

Tu niewiasty owe, potrójnie srebrne krążki okręciwszy, dźwięk jękliwy wydały, a morze groźnie trzy razy o stopy skał trzasnęło, jakby za boginką czarną powtarzało:

— O Koré, Koré, Koré...

Tu pani owa czarno odziana i niewiasty markizę minęły i szły dalej ścieżką, brzegiem morza, między skałami się płacząc, a lekki zefir donosił jeszcze długo do markizy echo zawodzeń i żałośliwy podłużny brzęk srebrnych talerzy i groźny poklask morza.

Markiza śledziła je wzrokiem, a kiedy, straciwszy czarną postać z oczu, odwróciła głowę, spostrzegła, że ktoś stanął za wysokim odłamem skały i oparłszy brodę na ręce patrzył z pod wielkiego kapelusza, wielkimi, przenikliwymi, bajecznie smutnymi, czarnymi oczami w jej oczy.

Markiza długo patrzyła z zaufaniem i z wiarą w te dobre wielkie oczy i poznała je, jak się poznaje kwiat, widziany w dzieciństwie.

I spytała cicho:

— Bracie Juljuszu, kto to był?

A on:

— To była Demeter, co szuka córę Persefony.

V.

Tu się zmieniło tło ich rozmowy. Byli na jakimś szczycie alpejskim. Juljusz stał na tle obłoku, który wydęty, biało-porcelanowy, sennie się powiększał, ogartując całe niebo widzialne dla markizy. Kaskada ze szmerem muzykalnym spadała od stóp wieszczka, a nad nim i nad szczytem, na białym obłoku stanął łuk tęczy radosnej — szarotki kwitły na bokach, wiśniowe anemony i asfodele.

— Czego ona szuka? — spytała znowu markiza, głaszcząc machinalnie jedwab Chinchinetty.

— Każdy z nas szuka, rzekł Juljusz; szukacie wszyscy, wy tam, ziemscy. Jenó ja mam posmak dojrzałego życia na wargach i świadomość wszystkiego, która lekką goryczą przepaja uśmiech moich ust. Łabędzie lecą nademną w krainę wspomnień, a ja wiem już dokąd one lecą. Już wiem. Nie masz pojęcia, markizo, jaka radość jest w goryczy poznania, goryczy zrozumienia ziemskości waszej i cielesności wszystkich bogów. Patrzysz oto na mnie zdziwieniem dziecinnych oczu,—słowa moje są dzisiaj dla ciebie bez znaczenia: ale kiedy przyjdzie biała śnieżycą i przysypie ci włosy nie pudrem już, a siwizną, wówczas nachylna nad kwiatem subtelnej, różowej firletki na tle zakrętu jakiegoś strumyka, pojmiesz łagodną muzykę mojego głosu i usta twoje ułożą się w ten sam uśmiech, który oglądasz na mych suchych wargach.

— Lecz powiedz, mistrzu-bracie, skąd owe szukanie cór i synów, braci i sióstr odwieczne? Po co ono jest i kto je stworzył?...

— Zawiele żądasz. I zawiele odpowiedzi musiałbym ci powiedzieć: wierz we mnie, jako ja w ciebie wierzę. Jestem tu na lodowym szczycie, posąg świadomości życia, stoję tu swem ciałem suchem i wiotkiem, którego nikt nigdy nie dotknął miłością. Czy pojmujesz to ty, córo miłości, kochanko markiza Kupidyńka, cielesnie rozpustna, a duchowo czysta, markizo Chachyphrogne? Czy zrozumiesz gorzyc mego ciała i słodycz mej duszy, która czasami ocierała się o drugą, jak jedna libellula w przelocie ociera się o drugą: a miłość moja muskała ciało moje, jak wierzba nadbrzeżna muska srebro fal, gdy ją wiatr pokłoni; a nigdy nie objęła mnie upalnie i nie ucałowała w usta cielesne, patrząc nie w me oczy, głębie przepaścistej Psyche, a w wargi moje, które były jak kwiaty, a potem wyschły i stały się zwiędłe i gorzkie, i zapiekły się w suchym uśmiechu świadomości. Albowiem gorzko jest wiedzieć wszystko.

Wówczas na brzegu przeciwnym alpejskiej przepaści znowu ujrzeli Demeter idącą, żałośnie strojną, z orszakiem dziew ze srebrnymi księżycami w dłoniach. Szła zwolna i rytmicznie, okalając przepaść, ale była jeszcze daleka i nie słyhać było jej pieśni.

— Mistrzu-bracie, rzekła markiza spokojnie, czegoż wyglądasz tak, siedząc na szczycie lodowca?

— Czekam, aż ujrzę go tak znowu, jakem go widział raz ostatni na jakimś brzegu fantastycznej mojej podróży, kiedy na czele koni, na białym arabskim rumaku powionął ku mnie frygijską czapką czerwoną. Czekam, aż przyjdzie wraz z Persefoną, strojną w maki i frygijskie czapki, aż wejdzie do przybytku mojego, aby położyć pieczęć palców swych białych na rubinie rozkrzyżowanych moich ust. Słuchaj, markizo, bowiem zbliża się czas i nastaje godzina, kiedy stopione lodowce spłyną z wierzchołków Alp, i przyjdzie w słońcu ów, któremu oddany jest Anhelli.

Wówczas markiza ujrzała, jak się Demeter schyliła nad przepaścią, w której mroku wielki szlifowany kryształ świecił jak księżyc, a dwa promienie czarnych jej kos zwisały w głąb przepaści, czarne jak ona.

Spojrzała jeszcze w oczy Juljusza i ujrzała w nich płomień boskiej miłości, *amor divina*. A z kryształu, jak z lodowego kubka, wykwitła wielka biała lilja i wzniosła się aż ku czarnej Demeter, znacząc ją krzyżem białych kwiatów.

VI.

Tu znowu zmieniło się tło bytowania. Znowu błękitniała lazurem Saharska pustynia, zieleniły się porcelanowe mury ogrodu Hesperyd i przez rozwarte miedziane jego wrota widać było drzewo ze złotemi

jabłkami, pod którem zasiadło całe towarzystwo markizy, jak na jakiej fête galante u Watteau. Demeter stała w słońcu na brzegu przepaści i w ekstazie łączyła końce palców z końcami palców, usta z ustami jakiejś niebiańskiej istoty, haftowanej w czerwone maki i zwiędłe asfodele. A Juljusz ze świadomością w zawartej linji ust, patrzył prosto na wschodzące słońce, które się wznosiło zwolna jak wielka Thermopylska tarcza nad ziemskim bolesnym padółem. Markiz Kupidynek biegł z radością do markizy, a z piasku Sahary poczęły się wysuwać źdźbła trawy i kwiaty, a na horyzontach rozkwitły wonne puszyste migdały, tylko nie różowe, a koloru bławatków, i układały się symetrycznie w śliczne trójkąty.

Ale markiza już tego nie widziała. Przypadła do ziemi, tworząc melodyjną plamę swoją morelową suknią, i ciekawym palcem rozklejała białe promienie stokrotek, aby ujrzeć złote oko, czyniące je podobnymi słońcu.

PG
7158
I8L4

Iwaszkiewicz, Jarosław
Legandy i Demeter

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

